Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 25/6 (1913/4) 27–31 marca 1970 r. Cena 1 złoty

TYTUS, ROMEK i A'TOMEK

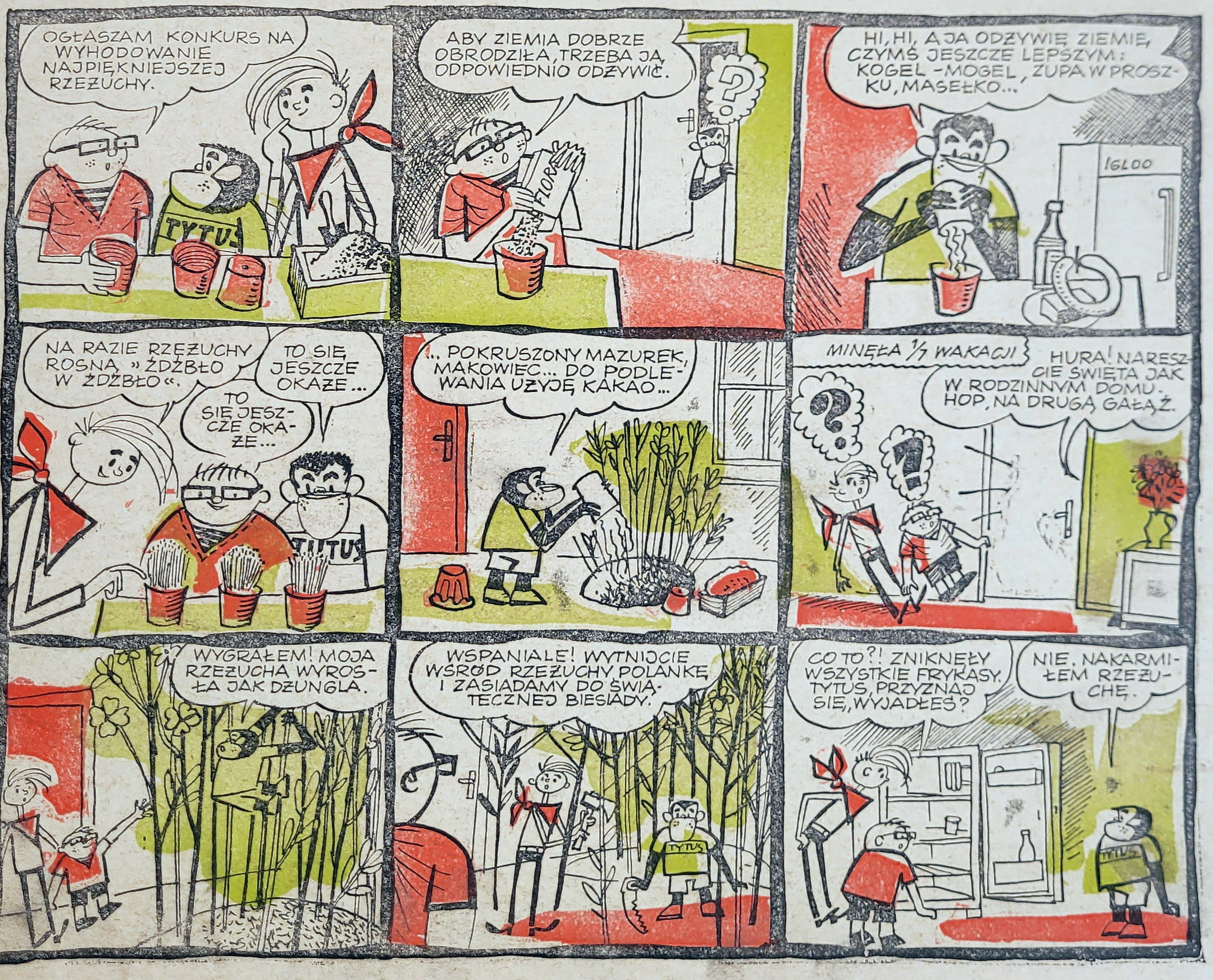

Czas najwyższy wiosnę witać!

Ten, kto nie chce, niech nie czyta

OD ZAMIERZCHŁYCH CZASÓW nadejście wiosny napawało ludzi optymizmem i radością. Znajdowało to odbicie w rozmaitych wierzeniach i obrzędach, zwyczajach i obyczajach, w których głównie (ale nie tylko) młodzież dawała wyraz swojej żywotności, rozbawieniu, a nieraz swawoli.

W bieżącym roku — jak zwykle — wiosna kalendarzowa zbiega się ze świętami wielkanocnymi, natomiast prawdziwa wiosna, ta, której z takim trudem szukał znakomity kronikarz krasnoludków Koszałek-Opałek, na skutek opóźnienia sąsiaduje jakby dla żartu z „kpiarskim" dniem 1 kwietnia. Godzi się jednak mimo to przypomnieć dawne wiosenne obyczaje, których wiele przetrwało do dziś, oraz wspomnieć o zwyczajach współczesnych, które żartobliwie można by przymierzyć do tego, „co drzewiej bywało".

Na przykład **pisanki.** Zwyczaj malowania jajek znany był już starożytnym. Jajko było dla nich symbolem życia. W Polsce jest chyba tak dawny, jak sama Polska, czyli ma co najmniej 1000 lat. W niektórych dzielnicach Polski znana była gra pisankami „na wybitki", zwana „walatką". Zawodnicy toczyli pisanki ku sobie i wygrywał ten, którego jajko wytrzymało „mocne uderzenie". (Najpiękniejszy zbiór pisanek polskich ma Muzeum Etnograficzne w Warszawie).

Dziś pisanki (jajka zdobione we wzory) i kraszanki (jajka malowane na jeden kolor) są piękną ozdobą stołów nie tylko wielkanocnych. Nie najpiękniejszą jednak ozdobą życia są „hipisanki" — dziewczęta i chłopcy pomalowani w kwiatki i wzorki i obwieszeni dzwoneczkami jak wielkanocne baranki. Polska na szczęście nie należy do krajów,

które mają największe zbiory tych osobliwości. Natomiast „wybitka" kultywowana jest przez młodzieżowe zespoły beatowe. Tu też zwycięża ten, kto ma mocniejsze uderzenie.

Śmigus i dyngus — to też obyczaje starożytne, kiedy to zarówno u ludów azjatyckich, jak i w Słowiańszczyźnie wiosenne oblewanie się wodą uznawano za rytuał oczyszczający. Nazwy dzisiejsze pochodzą prawdopodobnie od niemieckich osadników, którzy osiadając w Polsce za czasów Piastów okupywali się datkami krajowcom, gdy ci zbyt gorliwie stosowali do nich swój stary zwyczaj oblewania wodą **(dingen** — oznacza po niemiecku wykupywanie się). Śmigus natomiast przerobiono z niemieckiego **Schmeckkostern** — oznaczającego smaganie palmą lub prętem i oblewanie wodą każdego, kogo zastano w łóżku. Z czasem obydwie nazwy związano z wielkanocnym oblewaniem się wodą.

Dziś za najelegantszą formę oblewania uznaje się skrapianie wodą kolońską z tak zwanych „ámigusówek", czyli chytrych przyrządów w formie „gruszek", „cytryn", „zegarków", „długopisów" itp. Do najmniej eleganckich form należy oblewanie egzaminów, za co nie można winić wyłącznie nauczycieli, którzy mawiają między innymi: **„Kto na książkę się nie boczy — egzaminu nie umoczy".**

Do starych śląskich zwyczajów wiosennych należy **topienie Marzanny** — symbolu złej zimy i **obnoszenie Gaiczka** jako symbolu „nowego latka". Zwyczaj ten trwa do dziś, a młodzi jego kultywatorzy twierdzą, że najlepiej wita wiosnę ten, kto ma w głowie „gaik" pomysłów i wprawdzie topi „Marzannę", ale nie topi razem z nią swoich marzeń.

W tak zwaną **kwietną niedzielę**, czyli w niedzielę palmową był zwyczaj, że po procesji ze świątecznymi palmami młodzi chłopcy wygłaszali wierszem oracje o śledziu, poście, biedzie szkolnej, plackach, kołaczach i kiełbasach, a po nich — jak podaje Gloger — „wysuwały się chłopaki dorosłe miejskie i wiejskie, poprzebierane za pielgrzymów... żołnierzy... z wąsami i brodami z konopi... z mieczami drewnianymi... lecz... ich oracje miały na celu więcej rozśmieszenie niż przyzwoitość..." Od panowania Augusta III już tylko po domach prywatnych i karczmach chodziły grupy wesołków z witkami wierzbowymi, a gdy spotkały się dwie takie grupy, dochodziło nieraz do zażartej walki na palmy mało mającej wspólnego z porzekadłem:

„Palma bije — nie ja biję,
Za tydzień, wielki dzień,
Za sześć noc, — Wielka Noc".

Dziś nie trzeba „kwietnej niedzieli", żeby tu i ówdzie spotkać chłopaków dorosłych, wiejskich i miejskich, poprzebieranych za pielgrzymów i żołnierzy, z wąsami i brodami, tyle że nie z konopi. Oracje ich nie mają jednak często również na celu ani rozśmieszania, ani przyzwoitości, a palmy pozostały tylko w ich określeniach: „Palmy go w łeb" albo palmy „Sporty", palmy „Giewonty" itp. Nie wszędzie jest to jednak modne. Najmodniejsze bowiem jest dziś bicie rekordów o palmy pierwszeństwa we wszelkich dziedzinach nie tylko sportu, do czego gorąco zachęcamy nasze Czytelniczki i Czytelników składając im najlepsze świąteczne i wiosenne życzenia. (bis)

Rys. M. Kościelniak
Foto: B. Miedza

Mini — poduszkowiec

● Ostatnim słowem w dziedzinie podróżowania na przełaj jest jednoosobowy poduszkowiec „Hoverhornet", który może poruszać się po lądzie, bagnach, piasku, wodzie, śniegu i lodzie. Pojazd odznacza się silną konstrukcją i wytrzymałością, jest jednak tak lekki, że może być umieszczony na dachu małego samochodu. Koszty utrzymania poduszkowca są minimalne. Na zdjęciu — „Hoverhornet" podczas pokazu w Whittlesey (Anglia). Foto: CAF

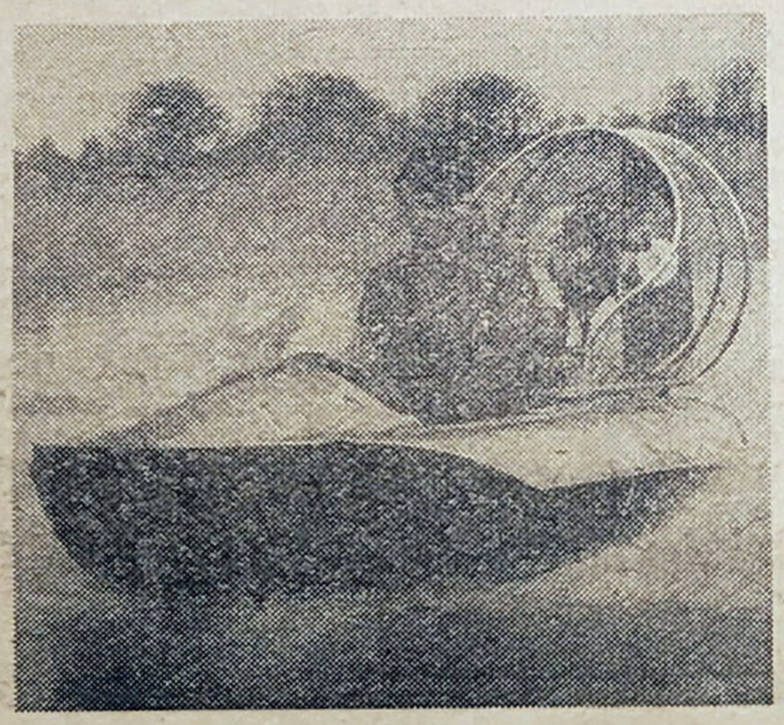

6-letni muzyk

● Sześcioletni Kleif Canarius jest prawdopodobnie najmłodszym muzykiem w NRD, grającym stale w zespole muzycznym. Już ponad rok jest on perkusistą w orkiestrze dętej spółdzielni rolniczej w Ringleben, której dyrygentem jest nauczyciel muzyki, ojciec małego Kleifa. Właśnie widzicie go podczas gry na instrumentach perkusyjnych, choć prawdą jest, że mały muzyk woli grać na wiolonczeli i od roku pobiera lekcje gry w szkole muzycznej im. Liszta w Weimarze.

Foto: CAF

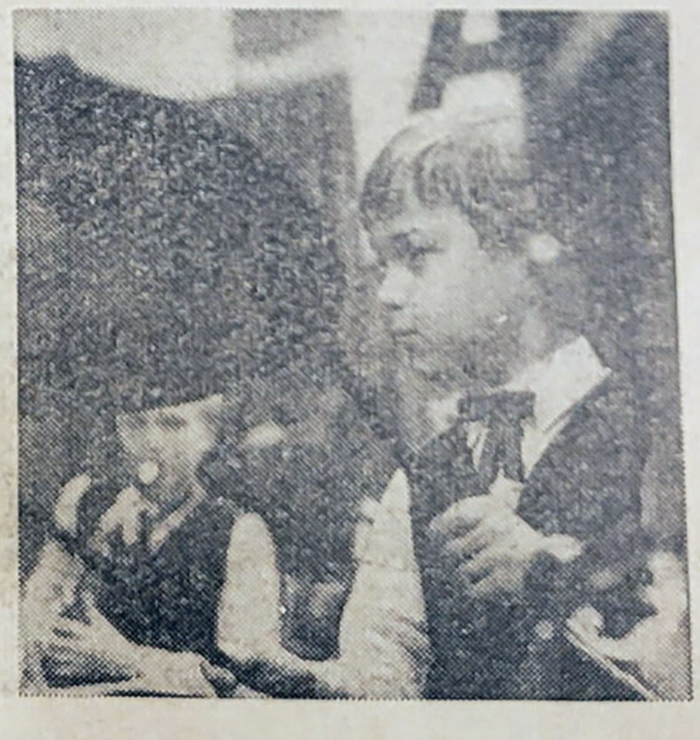

Na wielkim JEZIORZE GORZKIM

KANAŁ SUESKI łączy dwa morza — Śródziemne i Czerwone, stanowi więc drogę między dwoma oceanami: Atlantyckim i Indyjskim.

Długość Kanału wynosi 160 kilometrów. Szerokość około stu metrów.

Oczywiście przy takiej szerokości ruch wielkich statków nie mógł odbywać się w obie strony jednocześnie. Jako „mijanka" służyło Wielkie Jezioro Gorzkie. Tam formowały się konwoje, udające się w przeciwne strony — jeden w kierunku Port Saidu nad Morzem Śródziemnym, drugi — Suezu nad Morzem Czerwonym.

W dniu 5 czerwca 1967 roku żegluga odbywała się normalnie. Statki wielu bander zebrały się na Wielkim Gorzkim Jeziorze. Ale niestety, nie wszystkie zdążyły opuścić Jezioro. W tym dniu właśnie Izrael rozpoczął wojnę ze Zjednoczoną Republiką Arabską. Kanał zablokowano. Na Wielkim Jeziorze Gorzkim pozostało 14 statków. Między nimi dwa polskie dziesięciotysięczniki — „Djakarta" i „Bierut".

Po pewnym czasie oba statki polskie połączono, nadając im nazwę „DJAKBIER". W chwili obecnej załogę „DJAKBIER" stanowi 21 osób. Co kilka miesięcy skład załogi ulega wymianie.

PAN INŻYNIER Stanisław Grinberg wrócił niedawno do kraju. Przez kilka miesięcy pełnił on funkcję elektryka na „DJAKBIER".

Nie tylko zresztą elektryka. W dyrekcji Polskich Linii Oceanicznych w Gdyni, pokazano mi kilka kompletów znaczków pocztowych. Wykonał je w czasie pobytu na Gorzkim Jeziorze pan Stanisław.

— Jak do tego doszło? — pytam pana inżyniera — że marynarze zaczęli konkurować z pocztą...

— Statki zablokowane na Gorzkim Jeziorze znajdują się na linii ognia. Nie ma dnia, aby nie przelatywały tamtędy samoloty uzbrojone w rakiety, lub nie śmigały pociski dalekosiężnych dział. Ten fakt nie stwarza miłego nastroju. Więc wszystkie załogi starają się wspólnie lub indywidualnie wypełnić czas wolny od pracy, urozmaicić go w zależności od upodobań i uzdolnień.

Tak się złożyło, że inicjatywa „znaczkowa" wyszła od Polaków. Przejęły ją i inne załogi. W tej chwili nie wiadomo dokładnie, ile i jakie komplety wykonano na Gorzkim Jeziorze. Nie wszystkie zresztą znaczki robiono na statku. Jeden z czeskich kapitanów zamówił je po prostu u siebie w kraju... Jak do tej pory, bezkonkurencyjne są znaczki polskie. Widocznie posiadamy najwięcej cierpliwości. Bo zrobienie projektu graficznego to minimalna część pracy. Żeby wybić znaczek — trzeba wykonać matrycę. O wytrawianiu wzoru kwasami nie ma mowy. Każdy szczegół trzeba więc wypiłować w metalu. Jeśli znaczki są dwu- lub trzykolorowe, pracy jest jeszcze więcej. Ja sam około tysiąca godzin prześlęczałem nad trzema rodzajami znaczków. Jeden mój komplet poświęcony jest stuleciu otwarcia Kanału Sueskiego, drugi — dwudziestej czwartej rocznicy powstania Organizacji Narodów Zjednoczonych. Trzeci — setnej rocznicy urodzin Lenina.

Oczywiście każdy, kto robi znaczki, staje się osobą sławną. Odwiedzają go goście, starają się zjednać sympatię... Kiedy się zabieralem za znaczki leninowskie, niektórzy zapowiadali, że stracę nabytą popularność, oczywiście u załóg z krajów kapitalistycznych. Stało się coś wręcz przeciwnego. Leninowska seria była dosłownie rozchwytywana.

„NOGA" NA... JEZIORZE

JEDNĄ z zespołowych atrakcji jeziorowych są rozgrywki w piłkę nożną. Przed meczem, na pokładzie ustawia się bramki. Wytycza się boisko. Całe boisko ma ze 20 metrów długości, sześć szerokości, bramki też są malutkie. Wszystko to otoczone siatką o dużych oczkach. Polacy w tych meczach zawsze byli bliscy zwycięstwa — to znaczy... zajmowali na ogół drugie miejsce...

Inną rozrywkę stanowią Wielkie Regaty o Mistrzostwo Jeziora Gorzkiego.

— Skąd bierzecie łodzie żaglowe?

Na statkach zawsze jest trochę jakiegoś materiału.

Pan inż. Stanisław Grinberg prezentuje metalowe matryce do odbijania znaczków.
Foto.: K. Adamowski

Poza tym na każdej z jednostek pozostały łodzie egipskich cumowników. Kiedy statek wchodzi do Kanału, na jego pokład winduje się dwie łodzie, tak zwane „łodzie cumowników", zabiera się też arabską obsługę. Czasem bowiem bywa tak, że statek musi się zatrzymać, wtedy to cumownicy na swoich lekkich łodziach podpływają do brzegu i cumują statek... Właśnie polska żaglówka wykonana została z takiej łodzi.

Same regaty przygotowuje zazwyczaj wytypowany statek. W czasie mego pobytu na Gorzkim, jedne z regat organizował „DJAKBIER". Nagrody — a jakże, były. Przygotowywał je IV Mechanik, pan Buśko. Zrobił on siedem miniatur łodzi wikingów. Pracował nad tym trzy tygodnie. A do pomocy miał — kapitana.

PREZENT Z KRAJU

ZUPEŁNIE ODRĘBNYM rozdziałem w życiu załóg na Jeziorze stają się każde święta.

Sam fakt, że człowiek znajduje się daleko od kraju, nie napawa radością. Do tego ta ciągła strzelanina, przebywanie jakby na wulkanie...

Właśnie ostatnią „gwiazdkę" spędziłem tam. Na wigilię, wszystkich, którzy nie pełnili wacht, zaprosił angielski statek. Tuż przed wejściem do szalupy dostarczono nam na „DJAKBIER" pocztę z kraju. Wśród listów i paczek od bliskich znajdowały się dwa spore, ale bardzo lekkie pudła, adresowane do całej załogi.

Kiedyśmy je otworzyli, w każdym z nich znaleźliśmy ponad 40 łańcuchów choinkowych misternie wykonanych ze słomki i srebrnego papieru, a każdy łańcuch był ponad 2-metrowej długości.

Z niecierpliwością otwieraliśmy list. Okazało się, że tę piękną niespodziankę zrobiły nam dwie panie-emerytki z Poznańskiego. Nie muszę dodawać, jak bardzo byliśmy wzruszeni. Niestety, nie zapisałem sobie nazwisk tych pań. Co zrobiliśmy z łańcuchami? Część poszła na naszą improwizowaną choinkę. Część zabraliśmy na statek, na którym jedliśmy wspólną kolację. Każdego uczestnika kolacji dekorowaliśmy łańcuchem. Oczywiście kapitan Rutkowski wyjaśnił obecnym, skąd pochodzi ten serdeczny upominek. Muszę przyznać, że tylko polska załoga otrzymała z kraju taki dar...

*

W chwili, kiedy czytacie ten numer gazety, na Wielkim Gorzkim Jeziorze przebywa 21 polskich marynarzy. Na morzach i oceanach świata, w obcych portach, przebywają Ci, którzy pełniąc służbę morską pod polską banderą, święta spędzają daleko od kraju i od swoich bliskich.

Pomyślcie o nich ciepło i serdecznie w świąteczny ranek.

WIESŁAWA MROCZEK

Pan Grinberg na Gorzkim Jeziorze. W dali widać jeden z zablokowanych statków.
Foto.: S. Grinberg

TELEFON NA SZTORMY

● **Jedną z nowości produkcyjnych Krakowskich Zakładów Teletechnicznych „Telos" jest aparat telefoniczny, przeznaczony do kabin pasażerskich na statkach. Zaletą jego jest np. to, że można go przymocować na ścianie, bądź postawić na biurku czy stoliku. Dzięki gumowym przyssawkom aparat ten nie spadnie nawet przy największych przechyłach statku podczas sztormu. Wysokie zalety techniczne, jak i elegancki kształt aparatu zapewniły mu wysokie wyróżnienie na wystawie w Moskwie.**

CHLEB DLA MARYNARZY

● **Nie trzeba tłumaczyć, czym jest dla marynarzy, przebywających przez długie tygodnie, a nieraz i miesiące w dalekich rejsach, świeży chleb. Taki chleb, zachowujący przez dłuższy okres czasu świeżość, wypieka się w Szwecji i NRF. Już wkrótce i polscy marynarze będą mieli świeże pieczywo na długie rejsy. Zakłady Przemysłu Piekarniczego we Wrocławiu — jako pierwsze w kraju — wypiekać będą z gruboziarnistej mąki żytniej cienki i przypominający w smaku opłatek — chleb, zachowujący świeżość przez cały rok. Za pośrednictwem „Baltony" chleb ten dostarczany będzie zarówno załogom polskich statków jak również załogom statków zagranicznych zawijających do naszych portów.**

REDAKTORZY W KRÓTKICH SPODENKACH

● **Jedyny na świecie miesięcznik redagowany wyłącznie przez małe dzieci, wychodzi we Francji. Tylko redaktor naczelny jest osobą dorosłą. „Bisou", bo taki jest tytuł miesięcznika, ma 80 tysięcy nakładu. Redaktorzy i publicyści pisma mają w większości po 6 lat. Druk jest duży, przypominający kaligrafowane litery, pismo zawiera poza tym dużo obrazków oraz „wydzieranek", co bardzo odpowiada małym czytelnikom.**

Światowe muzeum lalek

● **W Chrudimiu, we wschodnich Czechach, tradycyjnym mieście corocznych krajowych i międzynarodowych festiwali teatrów kukiełkowych, powstaje oryginalne światowe muzeum lalek. Organizującemu się już muzeum ofiarował swe bogate zbiory lalek i innych przedmiotów z dziedziny teatru kukiełkowego z całego świata sekretarz generalny Międzynarodowej Organizacji Lalkarzy prof. Jan Malik z Pragi.**

Nafta pachnąca... jaśminem

● **Produkty wytwarzane z ropy naftowej mogą mieć zapach wielu gatunków kwiatów. Do tego wniosku doszli pracownicy Akademii Nauk w Azerbejdżanie, którzy opracowali technologię otrzymywania nafty pachnącej... jaśminem. Nowa technologia zostanie wkrótce wprowadzona w wielu zakładach produkujących kosmetyki, mydło i proszki do prania.**

Wirujące parasole

● **W Japonii ukazały się parasole z trójstopniową regulacją. Można więc parasol rozpiąć szerzej, węziej lub głębiej, w zależności od wiatru i deszczu. W wykonaniu luksusowym parasole wyposażone są dodatkowo w napęd umożliwiający równomierne wirowanie parasola. Wirowanie pozwala uzyskać efekty kolorystyczne parasola przeciwsłonecznego, natomiast z parasola chroniącego przed deszczem wirowanie usuwa wodę.**

„TROPIKALNA PUSZCZA TO NIEBEZPIECZNA CZARODZIEJKA! CZŁOWIEK WIEDZIAŁ, ŻE JEJ SZALEŃSTWO NIE ZNAŁO LITOŚCI, MOGŁO SPARZYĆ SKRZYDŁA I ZŁAMAĆ. A JEDNAK CZŁOWIEK SZEDŁ JAK ĆMA W TEN PŁOMIEŃ".

„Zwierzęta z lasu dziewiczego"

ZEW PUSZCZY

NIE SPEŁNIONE MARZENIA pozostają mrzonkami. Prawdziwe i silne stają się rzeczywistością — mówi popularny pisarz, przyrodnik i podróżnik, Arkady Fiedler. — Przypominam sobie pierwszy przebłysk marzeń — z czasów, kiedy byłem jeszcze bardzo małym chłopcem. Kiedyś ojciec prowadził mnie przez bór sosnowy, dość cienisty i jakiś ponurawy, gdy nagle wyszliśmy na polanę, zalaną słońcem, barwną od wielu kwiatów i porosłą wysoką trawą. Na ten widok doznałem tak silnego wzruszenia, że wspomnienie to zachowałem na długie lata. Z biegiem czasu przemieniło się ono w nieodpartą tęsknotę za słońcem jeszcze cieplejszym, za trawą jeszcze wyższą i lasem bujniejszym. Miewałem uporczywe wizje dalekich tropikalnych krajów. Gdy po wielu latach zacząłem realizować moje plany podróżnicze, dobrze sobie uświadamiałem, że ta moja niezwykła, bądź co bądź, kariera podróżnika i literata nie powstała przypadkiem, z dnia na dzień, lecz źródła swe czerpała już z czasów mego dzieciństwa.

Miałem ojca, który uczył mnie kochać rzeczy takie, obok których ludzie zazwyczaj przechodzili obojętnie. Był to człowiek niezwykły: wielki romantyk, o gorącym sercu a mądry, przede wszystkim zaś świetny znawca przyrody i jej namiętny wielbiciel. Gdy miałem siedem, osiem lat wyprowadzał mnie w las, nad wodę i na łąki. Dwóch przyjaciół — duży i mały — zdobywało sobie przyrodę, a w tej przyrodzie odsłaniały nam swe tajemnice różne cudowne rzeczy, motyle, kwiaty, ptaki, promienie słońca.

Wieczorami, po powrocie z wycieczek, snuliśmy razem piękne marzenia. Ojciec opowiadał mi o gorącym, tropikalnym słońcu, o dalekiej, bujnej puszczy pełnej lian i drzewiastych paproci, o olbrzymiej rzece i wielkich, błyszczących motylach. Szczegółowo układaliśmy sobie na podstawie map świata plan wspólnej w przyszłości wyprawy.

— Gdy dorośniesz — mówił do mnie ojciec — pojedziemy razem nad Amazonkę.

Zamiłowanie do przyrody — jak twierdzi pisarz — jest jego dziedzicznym obciążeniem. Dziadek leśnik umiłowanie przyrody wszczepił ojcu pisarza, ten zaś choć zamieszkał później w mieście, nie utracił go i potrafił przekazać synowi. Pisarz zaś prowadzi dziś swego syna pod rogalińskie dęby, te same, które wzbudziły w nim niegdyś tęsknotę za puszczą jeszcze bujniejszą niż las w okolicach Świątnik i Rogalinka, za rybami jeszcze większymi niż te, które gnieździły się za czasów jego dzieciństwa pod zwalonymi dębami w licznych odnogach Warty, na terenie objętym dziś wielkopolskim parkiem narodowym.

Marzenia silne, jak samo życie

MINĘŁY CZASY niedzielnych wypraw za miasto, gdzie Warta meandrami płynie. Wybuchło powstanie wielkopolskie, pisarza porwała walka. Ojciec umarł. Pozostał sam ze swoim nie spełnionym marzeniem.

— Gdy w czasie moich spotkań z czytelnikami zwracają się do mnie per „mistrzu", dodaję wówczas: „mistrzu chemigrafii", gdyż taki tytuł istotnie posiadam i mogę go potwierdzić odpowiednim dyplomem — mówi Arkady Fiedler.

Warto wspomnieć o tym dyplomie, bo jest to bardzo ważny fakt w realizacji marzeń pisarza. Ojciec zostawił mu bowiem mały zakład poligraficzny, który zmusił go do pracy w zawodzie, wydawałoby się, odległym od jego życiowych zamierzeń i upodobań. A jednak tu, przy ciężkiej, wielogodzinnej, żmudnej pracy, wdychając przykre zapachy chemikaliów, każdego dnia, krok po kroku, zbliżał się do realizacji swojej Wielkiej Przygody. Najbliższa rodzina, przyjaciele, którym nieraz przy stole roztaczał wizję przyszłych wypraw, uśmiechali się życzliwie i z pobłażaniem.

Tak się złożyło, że mistrz chemigrafii, Arkady Fiedler, po raz pierwszy w Polsce wykonał w swoim zakładzie barwne klisze do ilustracji podręcznika botaniki i otrzymał wówczas za tę pracę olbrzymią sumę 11 tys. (dziś wartość około 150 tys.) złotych. Poznańscy mieszczanie, a i najbliżsi sądzili, że Arkady Fiedler spożytkuje te pieniądze w sposób rozsądny, a więc rozszerzy zakład, zakupi willę na Sołaczu, gdzie mają swoje domostwa zacni poznańscy dorobkiewicze. Bomba pękła, gdy okazało się, że opowieści o dalekich wyprawach nie są mrzonką poczciwego mieszczucha, lecz pasją życia pisarza, przyrodnika z natury i zamiłowań. Arkady Fiedler wydał wszystkie zarobione pieniądze na pierwszą zoologiczną wyprawę do Brazylii. Celem wyprawy było zbieranie okazów fauny dla Muzeum Przyrodniczego w Poznaniu. Zabrał ze sobą na swój koszt towarzysza, zoologa, preparatora zwierząt. Przebywali w południowej Brazylii, w głębokich lasach blisko rok, przywożąc do kraju znakomite zbiory, które pisarz przekazał Muzeum Przyrodniczemu w Poznaniu.

Cztery lata później podjął drugą wyprawę do Ameryki Południowej w dorzecze Amazonki. Przywiezione przez pisarza okazy wzbogaciły tym razem Muzeum Zoologiczne w Warszawie. Z tych wypraw powstały też pierwsze książki: „Bichos, moi brazylijscy przyjaciele", „Wśród Indian Koroadów", „Ryby śpiewają w U-

JEZIOR W KANADZIE JEST CHYBA PRZESZŁO MILION, WIĘKSZOŚĆ Z NICH NIE OGLĄDAŁA JESZCZE RYBAKA. TU TA DZIESIĘCIOKILOGRAMOWA BESTIA SZCZUPAKOWA PADŁA OFIARĄ POLSKIEJ WĘDKI.

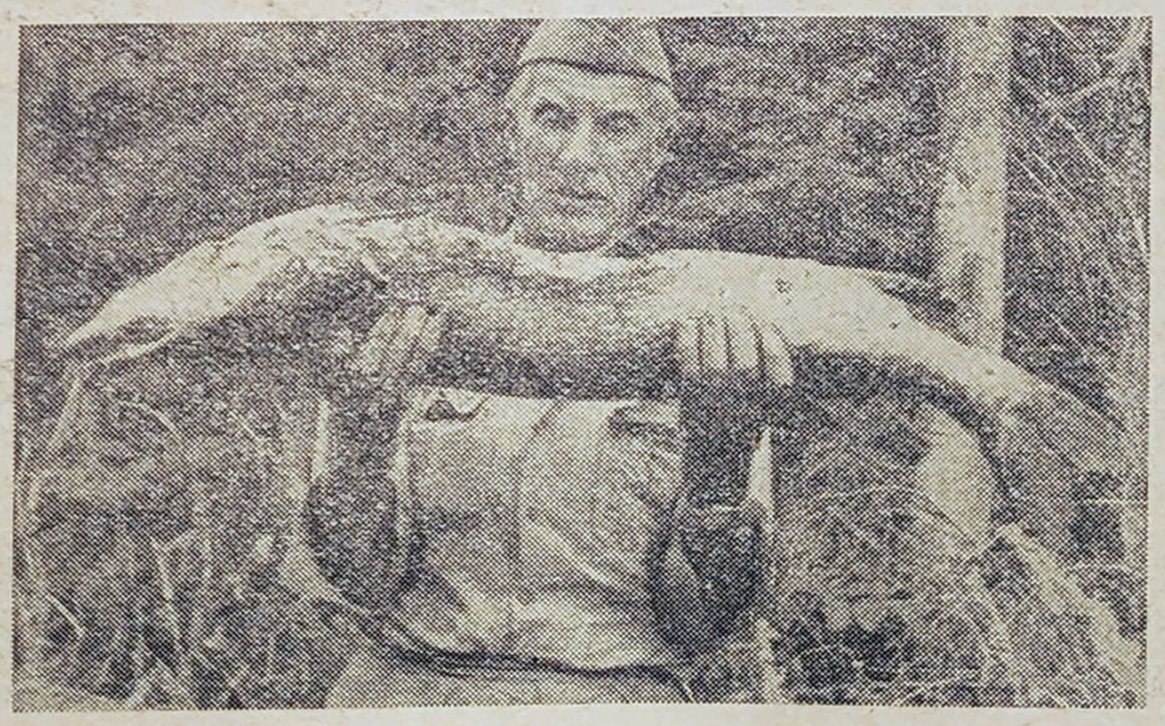

ARKADY FIEDLER W SZCZEPIE INDIAN WAJWAJÓW W GUJANIE

kajali". Tak się zaczęło. Potem były nowe wyprawy i dużo, dużo nowych książek.

— Nie obyło się bez osobistych ofiar — stwierdza pisarz. — Z powodu pierwszej wyprawy straciłem młodą żonę. Rozeszła się ze mną nie podzielając mojego postępowania. Druga wyprawa pochłonęła mój zakład — owoc pracy całego życia ojca. Nie żałuję, widać nie mogło być inaczej.

Puszcza nad Amazonką

PUSZCZA NAD AMAZONKĄ urzekła go od pierwszego wejrzenia i w wielu wyprawach do niej powracał.

— Chociaż śmiałe i zuchwałe były marzenia dziecięce, to przecież przyroda nad Amazonką stworzyła jeszcze śmielszą i zuchwalszą rzeczywistość. Oniemiały człowiek patrzy i trudno mu objąć rozumem to, co widzi: taką orgię bujności — opowiada dalej pisarz.

Znamy już z jego książek występujące tam dziwy przyrody: owadożerne rośliny, kwiaty o niezwykłych barwach, odurzające drzewa, błyszczące motyle i ptaki o groteskowych kształtach.

— Całe dorzecze Amazonki z małymi wyjątkami jest pokryte wspaniałą, okrutną puszczą, obejmującą mniej więcej siedem milionów kilometrów kwadratowych, a więc prawie dwie trzecie powierzchni Europy. Jakkolwiek brzmi to nieprawdopodobnie w czasach rozwoju kosmonautyki, olbrzymie połacie tego kraju są dziś jeszcze prawie tak samo tajemnicze, dzikie, nie zbadane. Na całym obszarze nie ma kolei żelaznej, łączącej go z innymi częściami Ameryki Południowej, a łączność utrzymuje tylko dwadzieścia-kilka parowców na Amazonce i niektórych jej dopływach, a ostatnimi czasy — także linie lotnicze.

Puszcza amazońska! Ktoś powiedział, że człowiek idący w puszczę ma tylko dwa przyjemne dni. Pierwszy dzień, gdy olśniony jej czarującym przepychem i potęgą sądzi, że wkracza do raju, i ostatni dzień, gdy bliski obłędu, ucieka z „zielonego piekła" do cywilizacji. Okrutne wilgotne gorąco panujące tu przez cały rok, tysiące nieznanych chorób, mrówki i termity pożerające wszystko, co na drodze, chmary moskitów wszczepiających śmierć do krwi, jadowite węże, zabójcze pająki, odurzające drzewa. Puszcza jest przeklętym krajem dla człowieka, a zwłaszcza dla białego. Jest to natomiast wyśnione Eldorado dla przyrodnika. Wiele odkryto dotychczas na świecie, natomiast w puszczy amazońskiej jest jeszcze do odkrycia cały, wielki świat.

Często zadawano mi w Polsce pytanie, jak to właściwie było z owymi śpiewającymi rybami w Ukajali. Czy one rzeczywiście wydawały dźwięki na przekór naszemu przysłowiu, że ryby są niemé? Czy to nie fantazja poniosła podróżnika-lhterata? Otóż nie.

Usłyszałem je po raz pierwszy w pobliżu mej chaty w Cumarii, pod wieczór, gdy słońce zachodziło wyjątkowo barwnie i malowniczo po dniu burzliwym. W powietrzu i na rzece panowała zupełna cisza — a tu nagle rozległ się spod wody odgłos jak gdyby dzwonu, potem drugiego dzwonu, potem już w kilkunastu miejscach. Dźwięki miały kilka tonacji, wyższych i niższych, jak gdyby powstawały od dzwonów różnych rozmiarów dzwonków, a nawet dziecięcych brzękadełek.

Obecni przy tym byli Metys Pedro i Indianin Valentin.

— Co to? — spytałem ich, nie dowierzając własnym uszom. — Czy to ryby?

—Si, senior, ryby — odrzekł Pedro.

— Czy znacie je?

— Znamy. Nazywają się corviny.

Ichtiologia zna owe śpiewające ryby, należące do rodzaju Umbrina. Różne ich gatunki żyją zarówno w morzach, jak rzekach i odznaczają się tym, że posiadają bardziej złożony niż inne ryby pęcherz, składający się z kilku komór. Powietrze, przechodzące z jednej komory do drugiej, wywołuje wibrację ścianek pęcherza i tak powstają dźwięki.

Śpiew był tak osobliwy i harmonijny, przy tym zjawisko tak oszałamiające, że po pewnej chwili mimo woli ogarnęło mnie uniesienie, jakiego często doznaje się na sali koncertowej. Zapomniałem o komarach, o zachodzie słońca. Wsłuchiwałem się urzeczony i znowu uprzytomniłem sobie, ile odrębności było w tej dziwnej puszczy.

Pod strusim jajem

CIEKAWĄ OPOWIEŚĆ o człowieku, który umiał realizować swoje marzenia snuje sam jej bohater — Arkady Fiedler. Opowiada interesująco, jest miły, towarzyski. Wkrótce mam wrażenie, że znamy się od lat, że nieraz grzaliśmy sobie ręce przy wspólnym ognisku. Istotnie, jest „człowiekiem namiotu", współczesnym globtroterem, którego w pierwszej swojej książce („Przez wiry i porohy Dniestru") tak określał:

„Kto to jest globtroter? Globtroter — jest to przede wszystkim potomek wszystkich zdobywców świata. Lecz zadanie jego jest trudniejsze: bo gdy tamci szli na rozlew krwi, podbój narodów i łup złota, globtroter nowoczesny sięgnie po większą zdobycz. Będzie ściągał złoto ze słońca, bogacił swą duszę, zdobywał przygody."

O tych przygodach rozmawiamy w pracowni pisarza. Nieduży pokój przerobiony ze strychu mieści się na piątym, ostatnim, piętrze kamienicy, w samym centrum Poznania. Książki (a większość spośród nich, to dzieła samego pisarza), liczne pamiątki z dalekich podróży, błyszczące, olbrzymie motyle, murzyńskie maski, egzotyczna broń, makaty z Tanzanii z dziwnymi napisami w języku Suachi, a u sufitu zawieszone kawałki bambusa nie spotykanej grubości, orzechy kokosowe i strusie jajko wielkości głowy dziecka. Na środku pokoju otwarte i do połowy załadowane — walizy. Pisarz rozpoczął pakowanie, bowiem już w kwietniu wyrusza w nową podróż do Peru.

Tyle energii, ciekawości świata i ludzi — trudno uwierzyć, że w ubiegłym roku pisarz obchodził uroczyście swoje 75 urodziny. Czterdzieści lat spędził na szlakach świata, a przed nim jeszcze wiele nie odkrytych dróg. W najbliższych latach planuje podróż do Jakucji i Labradoru. W życiu nie ominęły go trudności, cierpienia, wojny, tropikalne choroby, a jednak...

— Gdy przebiegam myślami długi okres mej działalności podróżniczej i literackiej, z niejakim zdumieniem stwierdzam fakt, że chyba bardzo mało ludzi w Polsce miało tak bujne i tak piękne życie, urozmaicone tylu wspaniałymi wrażeniami. Od najwcześniejszej młodości wymarzyłem sobie Wielką Przygodę, potem uparcie jej szukałem w różnych zakątkach świata i wszędzie ją znajdowałem. Wyrobiłem sobie instynkt łowcy wrażliwego na wszystko, co ciekawe i piękne w przyrodzie, a że przy tym posiadałem trzy podstawowe rzeczy, nieodzowne przy takim trybie życia, mianowicie: zdrowe, uodpornione ciało, zdolność namiętnych wizji i wytrwałą, silną wolę — więc nie dziw, że danym mi było osiągnąć pewne wyniki.

Widać każdy ma takie życie, na jakie go stać. Podziwiam Arkadego Fiedlera jako człowieka i pisarza i życzę mu dużo, dużo zdrowia, a nam wszystkim wiele jego nowych książek.

B. TYLICKA

WARTO WIEDZIEĆ, ŻE:

OD 1927 ROKU Arkady Fiedler odbył 20 większych podróży i wypraw: 3 w Europie, 5 do Ameryki Południowej, 5 do Ameryki Północnej, 4 do Afryki, 2 do Azji, 1 do Oceanii (na Tahiti).

24 z jego książek, przetłumaczone na 19 języków, uzyskały już 209 wydań, w kraju i 114 za granicą.

Dotychczas wydano około 6 milionów egzemplarzy jego książek, w tym w ZSRR do 1966 r. — 1.065.000 egz.

10 książek osiągnęło 10 i więcej wydań (w Polsce i za granicą): „Ryby śpiewają w Ukajali" — 27 wydań; „Kanada pachnąca żywicą" — 22 wydania; „Dywizjon 303" — 23 wydania; „Wyspa Robinsona" — 19 wydań; „Gorąca wieś Ambinanitello" — 17 wydań; „Mały Bizon" — 16 wydań; „Zwierzęta z lasu dziewiczego" — 11 wydań; „Orinoko" — 13 wydań; „Dziękuję ci, kapitanie" — 10 wydań; „Rio de Oro" — 10 wydań.

NOWE KSIĄŻKI: w 1963 r. — „Spotkałem szczęśliwych Indian", w 1969 r. — „Madagaskar, okrutny czarodziej". Złożona w wydawnictwie ukaże się w tym roku — „Piękna, straszna Amazonia".

Arkady Fiedler od 1936 roku otrzymał 10 odznaczeń, w tym Krzyż Komandorski Orderu „Polonia Restituta" w 1961 r., w 1969 r. dzieci obdarowały go „Orderem Uśmiechu".

PISARZ W PUSZCZY NAD AMAZONKĄ W 1967 ROKU ŁOWI NIEZWYKŁE MOTYLE. WSPANIAŁE ZBIORY TYCH MOTYLI PODAROWAŁ POZNAŃSKIM SZKOŁOM

Pomiar na stacji klimatologicznej. Takich stacji jest w kraju wiele — przecież chodzi o jak największą ilość danych.

INSTYTUT WRÓŻB prawdziwych

KIEDY jechać nad morze — zastanawiamy się — w lipcu czy w sierpniu? A kiedy na narty: w styczniu czy w marcu? Radzimy się wróżb w rodzaju: **„Maciej zimę traci albo ją bogaci", „Od Anki zimne poranki"**, słuchamy komunikatów radiowych. Od pogody często przecież zależą nasze osobiste plany...

Ale o wiele ważniejszy jest stan pogody dla naszej gospodarki narodowej. Przypomnijmy sobie: — w zeszłym roku kaprys pogody — susza, wobec której byliśmy bezradni — naraziła rolnictwo polskie na wielkie straty.

Jest coś upokarzającego w tym, że na progu ery kosmicznej, kiedy to ludzie tworzą urządzenia, o których dziesięć lat temu jeszcze nie marzyli, jesteśmy jednocześnie bezsilni wobec przyrody, nie potrafimy wpływać na pogodę i co gorsza, mamy nadal duże kłopoty z jej przewidywaniem... Prawie takie, jak dwa, trzy tysiące lat temu.

„Świat Młodych" odwiedził niedawno współczesnych wróżbitów: **PIHM, czyli Państwowy Instytut Hydrologiczno - Meteorologiczny.** Tu pracują synoptycy — naukowcy zajmujący się przewidywaniem pogody. Od nich chcieliśmy dowiedzieć się, kiedy skończy się nareszcie zima trwająca już czwarty miesiąc.

ELEKTRONICZNY SZAMAN

JESTEŚMY w najciekawszym dziale PIHM — w Zakładzie Prognoz Długoterminowych — to znaczy: miesięcznych i sezonowych. Te krótkoterminowe — kilkudniowe lub jednodniowe — znamy dobrze, spotykamy się z nimi na co dzień, chociażby w relacjach „Chmurki" czy „Wicherka" w TV.

Rozmawiamy z panią Marią Wodzińską i panem Janem Chrzanowskim — pracownikami zakładu.

— Proszę nam powiedzieć, jak powstaje prognoza...

— Nie jest to takie proste — mówi pani Wodzińska. — Praca synoptyków dzieli się na dwa etapy. Pierwszy — to zebranie danych o pogodzie na całym świecie. Na całej kuli ziemskiej, także w miejscach nie zamieszkałych na stałe przez człowieka, jak np. na Antarktydzie — znajduje się sieć stacji i obserwatoriów meteorologicznych. Mierzy się tu temperaturę, wilgotność, ciśnienie i ruchy powietrza. Następnymi dostarczycielami danych o pogodzie — już w wyższych warstwach atmosfery — są balony i rakiety meteorologiczne. I wreszcie ostatni krzyk „mody meteorologicznej" — zdjęcia ze sputników. Ciekawe, że na takich zdjęciach widać nawet grożące Ziemi tajfuny. Wielu strat zdołano uniknąć w ostatnich latach, zabezpieczając się przed tajfunami, przed którymi ostrzegły sputniki.

— Czy te wszystkie dane wystarczą do opracowania prognozy, np. na cały rok?

— Nie. Teraz dopiero następuje drugi etap. Zaczyna się... wróżba! A głównym szamanem jest elektroniczna maszyna matematyczna.

Przypuśćmy, że chcemy przewidzieć, jakie będziemy mieli w tym roku lato. Trzeba wiedzieć, że zmiany pogody występują w pewnych cyklach, to znaczy, powtarzają się okresowo. Stosujemy więc analogię do poprzednich lat, w których zima była podobna do zimy w 1970 roku. Okazuje się, że podobna zima była w latach 1924 i 1964. Wtedy najpiękniejszym miesiącem letnim był czerwiec, lipiec był jaki-taki, a sierpień deszczowy. W związku z tym jest duże prawdopodobieństwo, że w 1970 r. lato będzie wyglądało podobnie.

— Ale chyba w rzeczywistości sprawa jest bardziej skomplikowana?

— Oczywiście. Bierzemy pod uwagę dziesiątki tysięcy różnych analogii. Ale metoda jest ta sama. Tyle, że całe rozważania wykonuje maszyna matematyczna. W instytucie mamy dwie takie maszyny.

CO PO LODZIE, A CO PO WODZIE?

CIEKAWE, jak naukowcy z PIHM-u oceniają wróżby ludowe. Czy są one na ogół dobrymi prognozami? Mówi pan Jan Chrzanowski:

— Z tymi wróżbami bywa różnie. Kiedyś zajmowaliśmy się z kolegą sprawdzaniem ich przydatności dla nas. Wyniki były nieraz... śmieszne. Bo np. przysłowie **„Barbara po wodzie, Boże Narodzenie po lodzie"** — sprawdzało się prawie zawsze. Ale to o trzech zimnych majowych ogrodnikach: Pankracym, Serwacym i Bonifacym w ciągu sześćdziesięciu lat dla Warszawy i okolic... nie sprawdziło się prawie ani razu.

— Dobrze, ale czy PIHM nigdy się nie myli?

Pan Chrzanowski się uśmiecha. — Jedyną stuprocentową prognozą są przepowiednie starych górali, którzy na pytanie: — Gazdo, będzie pogoda? — odpowiadają: Albo będzie, albo nie będzie...

Staramy się, żeby nasze przepowiednie były najlepsze, np.: tegoroczną długą i ciężką zimę przepowiedzieliśmy już w październiku, ale zupełnie pewne prognozy będziemy mogli opracowywać wtedy, kiedy poznamy całkowicie atmosferę ziemską. Na razie zbyt mało jeszcze wiemy o pogodzie, klimacie i innych czynnikach — mówi pan Chrzanowski.

*

Zakład Prognoz Długoterminowych udziela także „prywatnych" prognoz zakładom pracy. Niedawno zwróciły się o taką prognozę cukrownie — ich produkcja jest przecież w dużym stopniu uzależniona od pogody. Na pewno wkrótce każda gałąź gospodarki będzie korzystała z długoterminowych prognoz. Zresztą przed meteorologami wyłania się nowe zadanie. Próby jeszcze nie wyszły poza ramy eksperymentu, choć ludzie potrafią już aktywnie zmieniać pogodę. Ale to zupełnie inna historia.

*

Na zakończenie ciekawej wizyty poprosiliśmy panią Wodzińską o wiosenną prognozę — specjalnie dla naszych czytelników. Niestety, nie jest najweselsza:

— Prawdziwa wiosna przyjdzie do nas dopiero w kwietniu. Temperatury dodatnie wystąpią późno, bo w trzeciej dekadzie marca. A sama wiosna nie będzie chyba „kosmicznie" ciepła. Raczej przeciętna. Musimy cierpliwie poczekać...

Dziękujemy pracownikom PIHM-u i życzymy im wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Meteorologa, który wszyscy meteorolodzy na całym świecie obchodzili dnia 23 marca.

JERZY MICHALSKI
Foto: Jerzy Szkutnicki

Radiosonda — ten mały przyrząd wzniesiony na wysokość kilku kilometrów nad ziemię w górne warstwy atmosfery, przy pomocy widocznego na zdjęciu balonu przekazuje dane drogą radiową do obserwatorium.

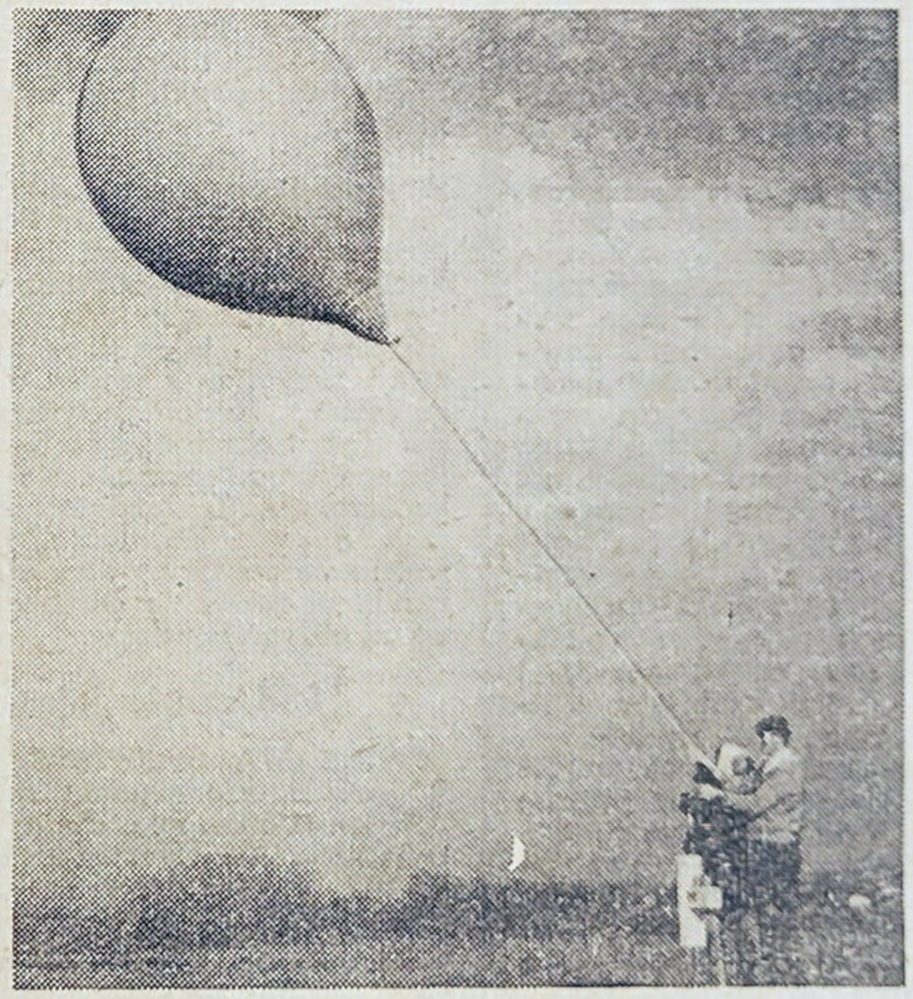

PRYWATNY WULKAN

Pan Masao Mimatsu, emerytowany japoński urzędnik pocztowy, jest posiadaczem wulkanu Showa Shinezan, który powstał w 1944 r. w wyniku trzęsienia ziemi w pobliżu jeziora Toya. Pan Mimatsu nabył wulkan w 1946 roku. Wulkan ten uznany został przez władze za pomnik przyrody. Władze nie zapewniły jednak funduszów na utrzymanie pomnika w dobrym stanie, co zatem spada automatycznie na właściciela, zaś licznie napływający turyści i naukowcy (wulkan jest czynny) depczą jego stoki oraz zabierają kamienie na pamiątkę. Nie mogąc znieść tej dewastacji i nie mając pieniędzy, aby jej zapobiec, pan Mimatsu postanowił sprzedać jedyny chyba na świecie prywatny wulkan.

STARY CZŁOWIEK I PTAKI

Australijski kolejarz-emeryt, Henry Grace, cały swój czas poświęca studiowaniu mowy ptaków. Obserwuje je, słucha ich ćwierkotania i śpiewu, robi notatki, a następnie naśladuje.

Henry Grace ma 78 lat, pochodzi ze wsi, posiada wiele cierpliwości i wytrwałości. W ciągu lat usiłował naśladować około 50 ptasich głosów. Sporządził w tym celu własnoręcznie cały komplet przedziwnych gwizdków. Każdy z nich wypróbowuje potem miesiącami.

Terenem jego doświadczeń jest Park Narodowy w okolicach Sydney. Pozostaje tam całymi dniami, a czasem i nocami. O wschodzie słońca — twierdzi — przez około 20 minut słychać najwspanialsze ptasie chóry.

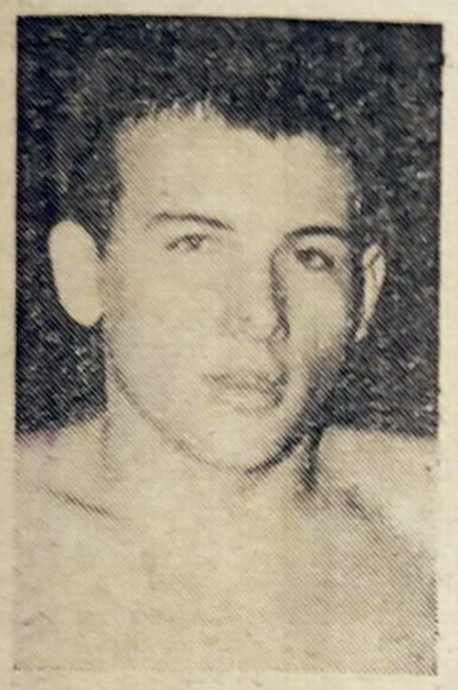

Najlepszy pływak Polski

PASJA I UPÓR

ZACZĘŁO SIĘ wszystko przed dziesięciu laty, w czasie Olimpiady w Rzymie. W reprezentacji Polski uczestniczącej w tej największej sportowej przygodzie znalazł się chłopiec z Ostrowca. Nazywał się Jurek Tracz. Był pływakiem, jedynym olimpijczykiem z tego miasta hutników, jako że w Ostrowcu Świętokrzyskim jest jedna z największych i najstarszych hut w naszym kraju. Właśnie przy tej hucie działający klub KSZO liczy sobie 40 lat.

W tamtych olimpijskich dniach Jurek Tracz był więc bohaterem pięćdziesięciotysięcznego miasta. A że dobry przykład szybko działa, do sekcji pływackiej KSZO wstąpiło mnóstwo dziewcząt i chłopców. Jeden z nich nazywał się Zbyszek Pacelt.

Tak jak setki rówieśników Zbyszek Pacelt marzył o sukcesach w sporcie. Oprócz marzeń pilnie trenował; nie można go było wypędzić z wody. W 1965 roku znany był już w całym kraju, jego nazwisko znajdowało się na listach rekordzistów Polski w kategorii dzieci w pływaniu. Mając 13 lat uzyskiwał świetne wyniki: 1.01,1 na sto metrów stylem dowolnym 2.14,8 na 200 m tym stylem. Wyjeżdżał za granicę, startował w stolicy Związku Radzieckiego — Moskwie, uczestniczył w zawodach najmłodszych pływaków w NRD.

Ale wyniki, których zazdrościli mu rówieśnicy, wcale Zbyszka nie zadowalały. Znał rezultaty rekordzistów świata, startując w wielu międzynarodowych imprezach, widział, że częściej przegrywa niż wygrywa. Lepszych od niego, pływających szybciej, było wielu.

Rodzice cieszyli się jednak z tych pierwszych sukcesów syna, tym bardziej, że uczył się dobrze. Jego ojciec, znany działacz sportowy, zachęcał go do dalszej pracy. Kiedy więc w Warszawie zorganizowano klasę pływacką w szkole posiadającej pływalnię, Zbyszek Pacelt przeniósł się do stolicy. Ale nie zmienił barw klubowych, reprezentował dalej ostrowieckie KSZO.

Przyszedł rok 1968. Igrzyska Olimpijskie w Meksyku. Ostrowiec znów miał powód do dumy. W reprezentacji olimpijskiej był Zbyszek. Ale i jemu — podobnie jak osiem lat wcześniej Traczowi — nie udało się nawet zakwalifikować do finału. Szybszych od Pacelta było bardzo wielu.

W Meksyku Zbyszek poznał wielu sławnych pływaków z całego świata. Razem ze swoim trenerem, Zbigniewem Kuciewiczem, porównywali swoje metody treningu z pracą innych. Wyciągnęli wnioski. Parę miesięcy po Olimpiadzie Pacelt znacznie poprawił swoje wyniki. Jednocześnie zdał maturę, złożył papiery do Akademii Wychowania Fizycznego. Przygotowywał się do egzaminów wstępnych i do startu w Pucharze Europy.

I wtedy zdarzył się wypadek. Boleści, pogotowie, lekarz, dwa dni w szpitalu zakaźnym z podejrzeniem tyfusu. Wreszcie spóźniona operacja wyrostka robaczkowego. Niby lekki zabieg, ale wykonany z opóźnieniem — bardzo groźny. W dodatku wdała się infekcja, musiano ponownie wziąć go na stół operacyjny. Leżał w szpitalu, kiedy koledzy walczyli w Pucharze Europy. W tym Pucharze, w którym liczono najbardziej na niego! Nie dostał się też na uczelnię, bo — kiedy koledzy zdawali egzaminy — on walczył o swoje życie.

We wrześniu był już rekonwalescentem. Wyjechał nad morze, biegał po piasku i patrzył na wodę. Czy jeszcze będzie kiedyś sportowcem?

Ale pływanie, sport — stanowiły już w tym czasie pasję życia Zbyszka. Postanowił więc: będzie studiować, będzie trenować. Przyjął pracę stażysty w Instytucie Naukowym Kultury Fizycznej. Kiedy w grudniu rana pooperacyjna zagoiła się, rozpoczął treningi. Miał pół roku przerwy: czy nadrobi zaległości treningowe? Pracował zatem więcej niż koledzy, trenował dwa, trzy razy dziennie.

Przyszedł wreszcie start na mistrzostwach Polski w Ostrowcu. Dawno Zbyszek nie pływał przed publicznością swego rodzinnego miasta. Witano więc go hucznie, trybuny skandowały: „Zby-szek, Zby-szek". Słyszał ten doping w wodzie i może dlatego płynął tak wspaniale. Osiągnął rekordy: 53,8 sekundy na sto metrów i 1.56,8 na dwieście metrów stylem dowolnym oraz 2.13,1 na dwieście metrów — zmiennym. Ten ostatni wynik jest lepszy od rekordu Europy, tylko że rekordów na pływalniach 25-metrowych nie uznaje się. W Ostrowcu po raz pierwszy był chyba tak naprawdę szczęśliwy. Odniósł wielkie zwycięstwo. Nad sobą. Wie już teraz, że będzie pływał. Wierzy, że zdobędzie medal na mistrzostwach Europy, chce jeszcze raz, z większym powodzeniem, startować na Olimpiadzie. W tym roku zda egzaminy wstępne na uczelnię, będzie sportowcem, będzie trenerem. Będzie zachęcał innych swoim przykładem, uczył — takich zapaleńców, jak on — zwyciężania w sporcie i życiu.

ALEKSANDRA KOROLKIEWICZ

Foto: M. Świderski

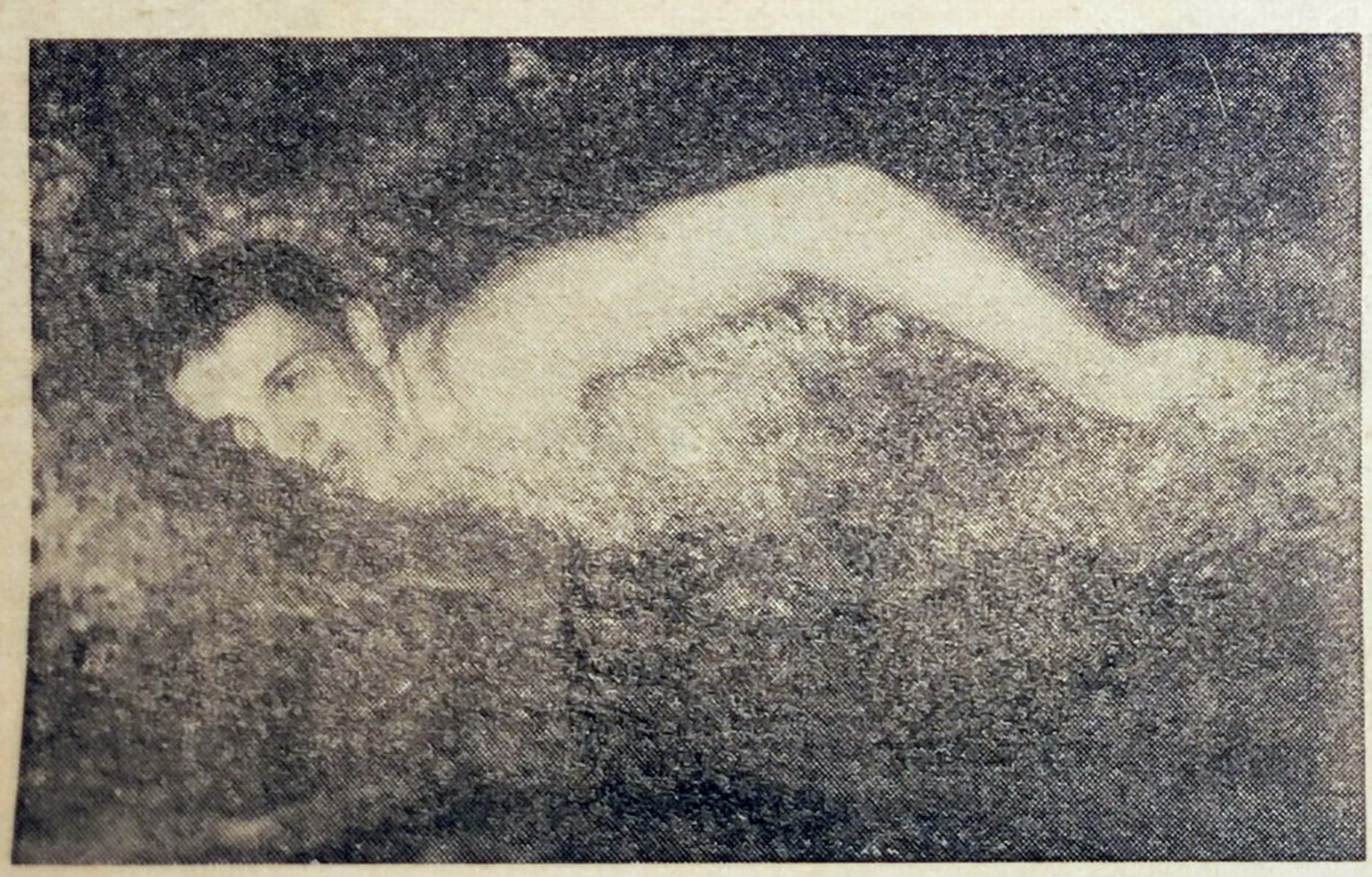

KAPITAN KLOSS STRZELA BRAMKI

JAK INFORMUJE Węgierska Agencja Prasowa, w Budapeszcie z wielkim zainteresowaniem oczekuje się przyjazdu polskiego aktora Stanisława Mikulskiego. W tradycyjnym meczu prasa — artyści uczestniczyć będzie również popularny na Węgrzech kapitan Kloss, grając w zespole węgierskich aktorów.

Mecze dziennikarzy z artystami odbywają się tradycyjnie na budapeszteńskim Nepstadionie i ściągają na trybuny tysiące widzów. Występ Mikulskiego jest dużą sensacją, ponieważ seria przygód kapitana Klossa uczyniła naszego aktora najpopularniejszym z ludzi filmu na Węgrzech.

GOSPODARZE SWEGO OSIEDLA

PAMIĘTAM dokładnie, jak w upalne lato ubiegłego roku mieszkańcy Warszawy patrzyli ze zgrozą na drzewa. Brak wody i żar lejący się z nieba sprawił, że warszawskie drzewa zaczęły umierać. Ktoś użył wtedy określenia: „nasze drzewa usychają stojąc". I to było prawdą, drzewa usychały. Pożółkłe liście zaścielały miejskie chodniki.

Wielkie miasto nie może żyć bez zielonych krzewów. Właśnie dlatego w Komitecie Blokowym Nr 66 w Warszawie ogłoszono alarm.

Na apel pierwsi zgłosili się najmłodsi mieszkańcy osiedla. Codziennie wieczorem na ul. Brazylijskiej, Zwycięstwa, Międzynarodowej i Saskiej dziesięcioosobowa grupa nastolatków ratowała drzewa. Każdego dnia wieczorem zaopatrzeni w węże i wiadra z wodą, podlewali szpalery drzew. Przy wspólnej pracy spotkali się wówczas: przewodniczący Komitetu Blokowego — pan Jerzy Skolimowski, Tadzik Szymczak, Ewa Grochowska i inni.

Taki był początek powstania środowiskowej drużyny harcerskiej założonej przez tenże Komitet Blokowy w Warszawie.

Zbierają się raz w miesiącu w niedzielę na zbiórce drużyny. Na co dzień zaś opiekują się starszymi mieszkańcami osiedla — dziewięcioma rodzinami. Robią zakupy, przynoszą książki, pomagają tym, którzy czekają na ich pomoc. Wiele też czasu zajęło im wyremontowanie i umeblowanie harcówki, którą przydzielił im Komitet Blokowy. Ale ich „specjalnością" jest przyjaźń — ze wszystkimi mieszkańcami osiedla, ze starszymi i z rówieśnikami. Przychodzą wszędzie tam, gdzie są potrzebni.

Na Święto Kobiet na każdej ulicy zawiesili kolorowe plakaty z życzeniami dla wszystkich mieszkanek. Odwiedzili też samotne starsze panie, aby wiedziały, że i o nich ktoś pamięta. Są przywiązani do swego osiedla, tak samo jak dorośli do nich.

W połowie marca Komendant Hufca ZHP Praga-Południe, przyjął przyrzeczenie od grupy 14 harcerek i harcerzy z Osiedla „Saska II", którzy od tej pory stanowią 298 Warszawską Drużynę Harcerską.

ROMA JABŁOŃSKA

Słodki reportaż ze słodkiej fabryki

Tak wygląda „ciasto" na znane Wam cukierki-kukułki. Jest jeszcze gorące. Za chwilę pracownik włoży je do automatu, który wykona całą resztę pracy.

KIEDY BYŁEM małym chłopcem, okropnie lubiłem słodycze. A przez długi czas miałem takie ciche marzenie: pracować w fabryce czekolady. — Wtedy to bym jadł przez cały dzień słodkości...

Niedawno, kiedy siedziałem w redakcji w strasznie „gorzkim" nastroju, wszystko to sobie przypomniałem. I dlatego z entuzjazmem przyjąłem pomysł kolegi fotoreportera, żeby złożyć wizytę w fabryce czekolady.

*

NAJWIĘKSZĄ W POLSCE, ba jedną z największych w Europie fabryk „słodkości" są Zakłady im. 22 Lipca (lub „Wedla", bo tak też je nazywają) w Warszawie. Trafić tam łatwo. Już na kilkaset metrów przed wejściem w ulicę Zamoyskiego, wiatr niesie upajający zapach czekolady.

Pod opieką przewodnika zwiedzamy zakład. W „Wedlu" produkuje się prawie wszystkie rodzaje słodyczy: cukierki twarde i nadziewane, czekoladki i pomadki, wafelki i chałwę.

Tajemnica „Józefinki"

OTO JEDEN Z DZIAŁÓW — dział cukierków twardych. Pracują tu olbrzymie automaty. W czasie godziny taki automat produkuje pół tony słodkich „malinek"! Niezwykle ciekawa jest metoda produkcji. Jak się robi takie cukierki? Otóż najpierw w dużych kotłach gotuje się masę karmelową. Potem wylewa się ją na metalowe stoły i taką przezroczystą „kluchę" ważącą dwadzieścia kilogramów doprawia do smaku i miesi jak ciasto. Często ręcznie, ale wprowadzono już także ugniatacze maszynowe. Następnie jeszcze miękką masę wkłada się do automatu, który najpierw wyciąga ją w długą, cienką nić grubości palca, a potem kroi w małe kawałeczki i prasuje na cukierki. Ot i wszystko. Jeszcze ostudzić, wysuszyć i mamy gotowe „malinki".

Ale nie wszystkie wyroby „Wedla" są produkowane w taki prosty sposób. Nie wszystkie sposoby są ujawniane. Na przykład słynne wedlowskie „ptasie mleczko"... Sposób wyrobu jest tajemnicą zakładu.

Bardzo skomplikowana jest produkcja słodyczy nadziewanych, na przykład czekolad „Józefinka". Trzeba wykonać najpierw cienkie ścianki z czekolady o kształcie górnej strony tabliczki. Potem wlewa się w środek nadzienie. I wreszcie na końcu zalewa się nadzienie od spodniej strony. W ten sposób nadzienie jest zamknięte ze wszystkich stron twardą czekoladą. Próbowaliśmy „Józefinkę"... Bardzo smaczna!

Marzenie o... śledziu

KIEDY ZNALAZŁEM SIĘ w halach produkcyjnych, zrozumiałem, że bardzo naiwne było moje wyobrażenie o tym, jak to „fajnie" mają pracownicy fabryki cukierków, „bo mogą jeść i jeść".

Przede wszystkim praca jest bardzo ciężka. W halach jest gorąco. Przecież prawie cała produkcja cukiernicza przebiega w wysokiej temperaturze. A poza tym zapach. Zapach czekolady, wanilii i olejków aromatycznych w takim natężeniu, że naprawdę odchodzi ochota do jedzenia.

— W zakładzie człowiek czuje się, jakby wypił raz po razie osiem kubków kakao — mówi jeden z pracowników. Proszę mi wierzyć, że większość z nas nie może patrzeć tutaj na słodycze. I najdziwniejsze, że jedyne potrawy, o których myślę, kiedy jestem głodny w pracy to... marynowany śledzik albo bigos. Taki ostry i słony.

Widzicie sami, że praca w „Wedlu" to nie „słodkie życie". Po prostu praca jak każda, tyle, że ciężka. Przekonują się o tym także wycieczkowicze:

— Oprowadzamy ich po zakładzie — mówi nasz przewodnik. Najpierw jedzą niesamowite ilości landrynek, potem czekoladę, ale na ogół w połowie trasy „wysiadają". No i słodyczy mają dość na cały miesiąc.

Specjały znane na całym świecie

NA PEWNO słyszeliście, że wyroby „Wedla" są poszukiwane na całym świecie i to od dawna. Już przed wojną firma E. Wedel eksportowała swoje wyroby do wielu krajów i wyrobiła sobie dobrą markę. Po wojnie fabryka, dawniej prywatna — została upaństwowiona i otrzymała nazwę Państwowych Zakładów im. 22 Lipca. Ale stara nazwa E. Wedel figuruje obok nowej. Ze względu na to, że zagraniczni klienci przyzwyczaili się do niej.

W krajach europejskich dobrze znane są czekolady, batony i cukierki wedlowskie — są one jednym z najelegantszych prezentów. Duża część eksportu Zakładów idzie do krajów afrykańskich i azjatyckich, a przede wszystkim do arabskich. Oczywiście tylko niektóre wyroby. Bo do ciepłych krajów nie można wysyłać tych gatunków czekolady, które mogłyby się roztopić.

*

Chodząc po halach próbowaliśmy po małym kawałku każdej czekolady, po jednym z każdego rodzaju cukierków. Ale tyle specjałów tu się robi, że w połowie „wysiedliśmy". No i przez kilka dni będę pił gorzką herbatę. Na cukier nie mogę patrzeć. Sprawdziło się...

Mimo to o tym, jak smaczne są wedlowskie wyroby, nie muszę Was przekonywać. Każdy był kiedyś kuszony przez czekoladki i cukierki produkcji Zakładów im. 22 Lipca. I chyba mało jest takich wśród Was, którzy by się oparli pokusom „słodkiej fabryki".

JERZY MICHALSKI

Foto: Kajetan Adamowski

Odlane wierzchy „Józefinki" zostaną napełnione nadzieniem. Potem ta sama maszyna zaklei je od spodu czekoladą. A metalowe foremki po umyciu wrócą znowu napełnione twardą czekoladą.

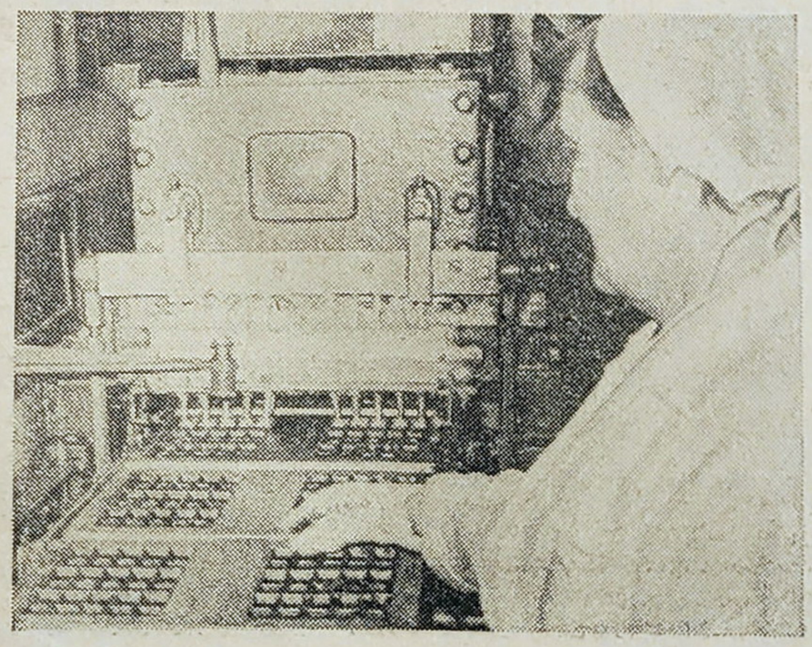

Przy fabryce istnieje przyzakładowa Szkoła Zawodowa i Technikum Cukiernicze. Przyjmuje się tu chłopców i dziewczęta — warunkiem jest zdanie egzaminów i dobry stan zdrowia. Kto z Was po ukończeniu szkoły podstawowej chciałby uczyć się zawodu cukiernika, o bliższe informacje może zwrócić się do: Państwowych Zakładów im. 22 Lipca — Warszawa, ul. Zamoyskiego 23 — Dział Szkolenia.

Ale pamiętajcie, praca jest ciężka. Przestrzegamy przed pochopnym wyborem!

Kolumna Trajana (wygląd współczesny)

Tekst i rysunki M. Kościelniak

KOLUMNA TRAJANA

W CENTRUM Rzymu, w pobliżu słynnego Forum Romanum, istnieją ruiny Forum Trajana. Głównym akcentem zespołu budowli jest zachowana do dziś marmurowa kolumna, jeden z najciekawszych zabytków epoki rzymskiej.

Około roku 100 naszej ery, od północnego wschodu groziły Rzymowi wojownicze plemiona Daków, ludu mieszkającego na terenie dzisiejszej Rumunii. Cesarz Trajan dwukrotnie wyprawiał się przeciw Dakom: w roku 105 pokonał ich po ciężkich walkach i zdobył ogromne skarby. Wódz dacki, mężny Decebal, straciwszy armię i niepodległość — popełnił samobójstwo.

Po powrocie z wyprawy; zwycięski Trajan w roku 113 wzniósł w Rzymie wspaniałe Forum z termami, biblioteką i halą targową. W środku zabudowań stanęła okazała kolumna z posągiem cesarza na szczycie. Niezwykła to jest kolumna. Wznosi się na wysokość 40 metrów, a szczyt jej wieńczył posąg Trajana. U podstawy znajdowała się komnata, w której umieszczono prochy cesarza; z komnaty prowadziły na szczyt kolumny — schodki marmurowe. Oryginalny trzon kolumny składa się z 17 bębnów wznoszących się spiralą ku szczytowi. Na fryzie wyrzeźbiono 2500 postaci prawie naturalnej wielkości. Rzeźby przedstawione na bębnach kolumny to sceny walk Rzymian z Dakami, to jakby otwarta księga dziejów wojny dackiej.

Kolumna Trajana przetrwała blisko 1900 lat. W wieku szesnastym, po zlikwidowaniu posągu Trajana, na szczycie kolumny stanęła figura św. Piotra. Nie pokonały jej burze dziejowe i do dziś stanowi chlubę zabytków starożytnego Rzymu.

Fragment płaskorzeźby z kolumny Trajana.

URODA srebra

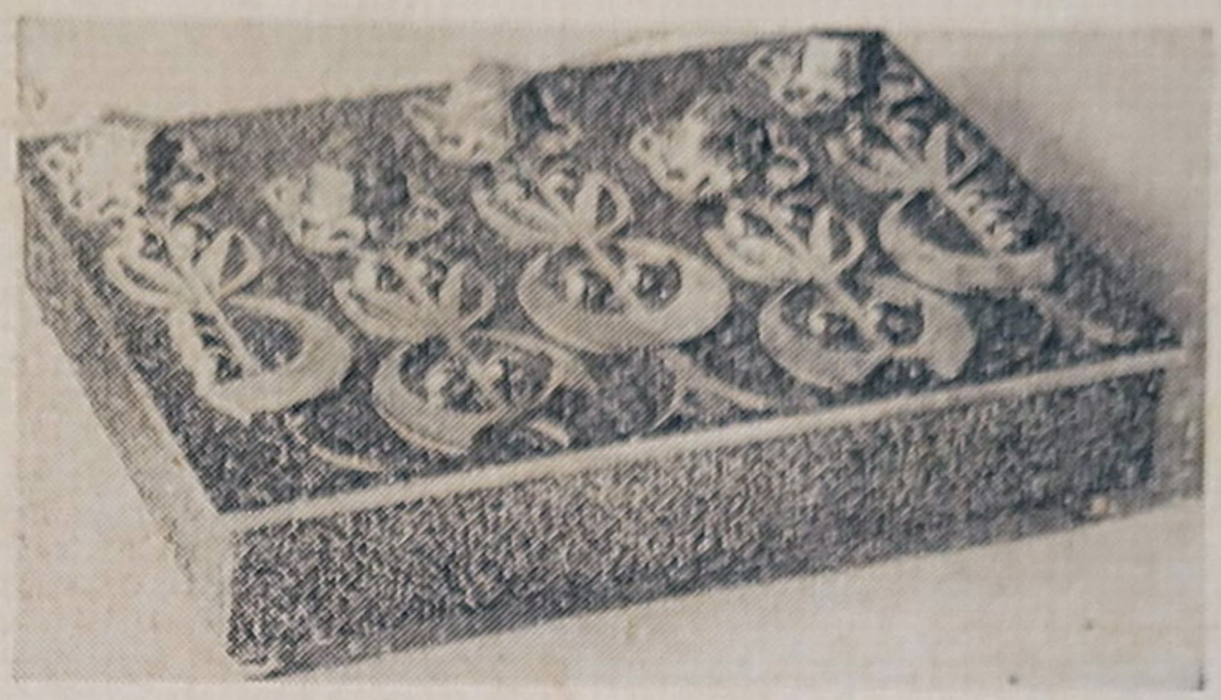

Mieszkańcy „nowoczesnego“ świata, sięgający po księżycowe kamienie, tęsknią za ręcznie toczonym, glinianym garnkiem, za płomieniem świecy, tkwiącej w żelaznym lichtarzu, za dywanem tkanym na ręcznym warsztacie.

Pewna amerykańska milionerka założyła nawet Światową Radę Rękodzieła, która ma za zadanie kultywować wszystko, co zrobiły ludzkie ręce... Równocześnie buduje się maszyny, celowo deformujące seryjnie produkowane przedmioty, ażeby przynajmniej pozornie nadać im wygląd wykonanych ręcznie!

Wisiorek z ametystem.

łającego w średniowieczu.

W „Orno“ powstały już tysiące wzorów biżuterii, a także insygnia przeznaczone dla wyższych uczelni oraz płaskorzeźby o tematyce związanej z Tysiącleciem Państwa Polskiego. Dziełem „Orno“ są także wejściowe drzwi do Katedry warszawskiej i wiele innych prac z dziedziny architektury, o wielkiej wartości artystycznej. W Spółdzielni Rękodzieła Artystycznego pracują grawerzy, złotnicy, brązownicy, kowale-artyści i szlifierze kamieni półszlachetnych.

Do zakładu przy ul. Wspólnej w Warszawie często zaglądają wycieczki, praca nad srebrną biżuterią szczególnie interesuje uczniów szkół artystycznych. Niektórzy spośród nich trafiają tu na praktykę, zostają czeladnikami, później mistrzami, tak jak to było dawniej...

Towarzysze cechowi

Najwcześniejsze bractwo złotnicze w Polsce zorganizowało się w Krakowie. W 1370 roku cechowi złotników nadał przywilej król Ludwik Węgierski, a w 22 lata później Rada Miasta zatwierdziła pierwszy statut. Ten, kto chciał zostać mistrzem:

„...winien co najmniej 1 rok w rzemiośle wybyć. Wyzwalając się na mistrza winien tenże towarzysz dowieść swojej sprawności i wykonać 3 sztuki. Po pierwsze — srebrny kubek ma zrobić. Po drugie — pieczęć uczynić, a w niej wyryty helm, tarczę z klejnotem, tudzież litery nad nim jak się należy. Po trzecie — winien kamień osadzić w złocie. A to wszystko winien zrobić u zaprzysiężonego cechmistrza, a zrobić to ma tak, aby przynieść chwałę rzemiosłu i miastu swemu".

Złotników, których nazwiska przeszły do historii, było niemało. Znany jest Marcin Marciniec, nadworny złotnik królewski, który wykonał całe pudła srebrnych łyżek dla dworu Zygmunta Starego, oprawiał w srebro złocone fajansowe naczynia, dodając im ozdobne nóżki w kształcie jabłek, lub uskrzydlonych główek; robił pucharki i rożki do picia. Pozostała po nim także kuta w srebrze historia Stanisława Szczepanowskiego, według opisu historyka Jana Długosza.

Inny złotnik, pracujący nieco wcześniej dla króla Władysława Jagiełły, robił dla królowej Jadwigi srebrne pasy, okucia do siodeł, a także dostarczał dworowi srebrnych gąsiorów, srebrnych jabłek, stanowiących ozdobę rzędów końskich.

Królowie zresztą nie tylko korzystali z usług złotników, ale — tak jak Zygmunt III — sami się niekiedy tą sztuką parali.

Cechy złotników działały we wszystkich dużych miastach. W Warszawie przed wyzwoleniem się na mistrza obowiązywała dwuletnia co najmniej praktyka i dwuletnia wędrówka do miast obcych. Przywilej cechowy zastrzegał poza tym, aby „wszyscy bracia małżonki mieli, a to dla zachowania większej poczciwości. I dlatego każdy zostawszy złotnikiem w rok winien pojąć małżonkę, a gdy się to nie stanie — winien dać grzywien 15".

Argentum

Chemiczny symbol srebra oznaczony jest literami Ag — Argentum.

Historia tego szlachetnego metalu jest stara — już w Egipcie, Grecji, Rzymie umiano je wytapiać i robić z niego biżuterię oraz monety.

Zawartość czystego srebra w stopie określana jest obecnie przez Urząd Probierczy. Drugim znakiem, jaki posiada każdy srebrny wyrób, a więc i pochodzący z pracowni „Orno", jest tradycyjny znak każdego rękodzielnika, z niemieckiego zwany gmerkiem. Oznaczanie wyrobów gmerkiem weszło w użycie w drugiej połowie XIII wieku.

W muzeach oglądamy piękne, stare wyroby ze srebra, pamiętające dawne dzieje. Spółdzielnia „Orno" nawiązująca do tradycji polskiego złotnictwa robi z białego szlachetnego metalu — argentum — biżuterię i zdobywa nagrody i wyróżnienia, przyznawane w konkursach Związku Polskich Artystów Plastyków, „Cepelii", Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, Centrali Jubilerskiej.

„Polskie srebro" jest chętnie kupowane przez odwiedzających nasz kraj gości zagranicznych i cieszy się dużym zainteresowaniem w sklepach „Cepelii" za granicą — w Nowym Jorku, Brukseli. (ag)

Zdjęcia: archiwum „ORNO"

Egzotyczny orzech kokosowy oprawiła w srebro Spółdzielnia Pracy Rękodzieła Artystycznego „Orno".

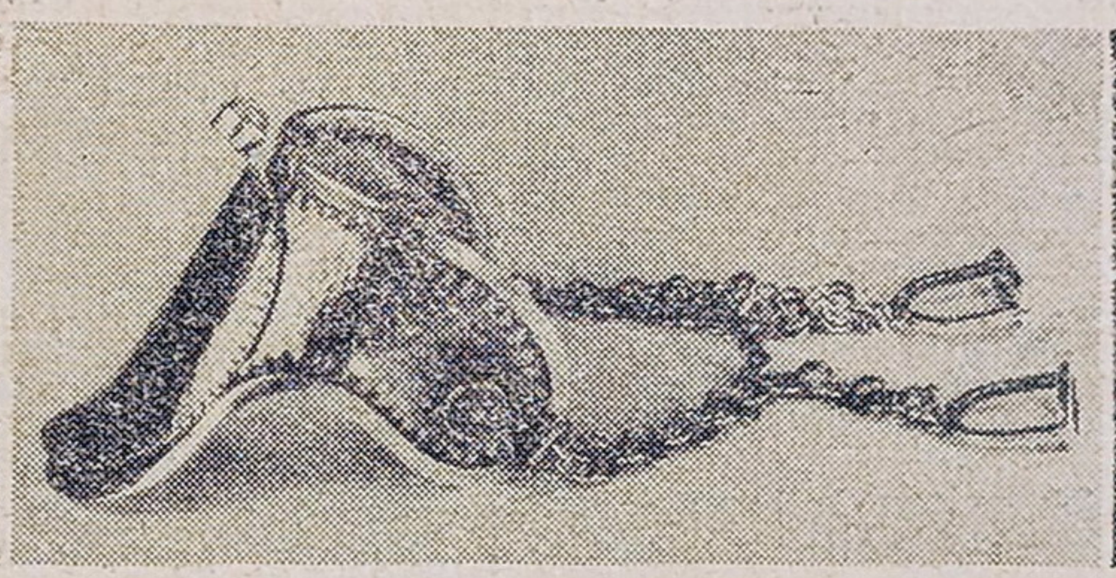

Ze srebrem harmonizują kamienie: agaty, nefryty, korale, bursztyny. Srebrna biżuteria z „Orno" jest poszukiwanym towarem nie tylko w Polsce, ale i za granicą, gdzie np. sprzedają ją sklepy CEPELII w Nowym Jorku i Brukseli.

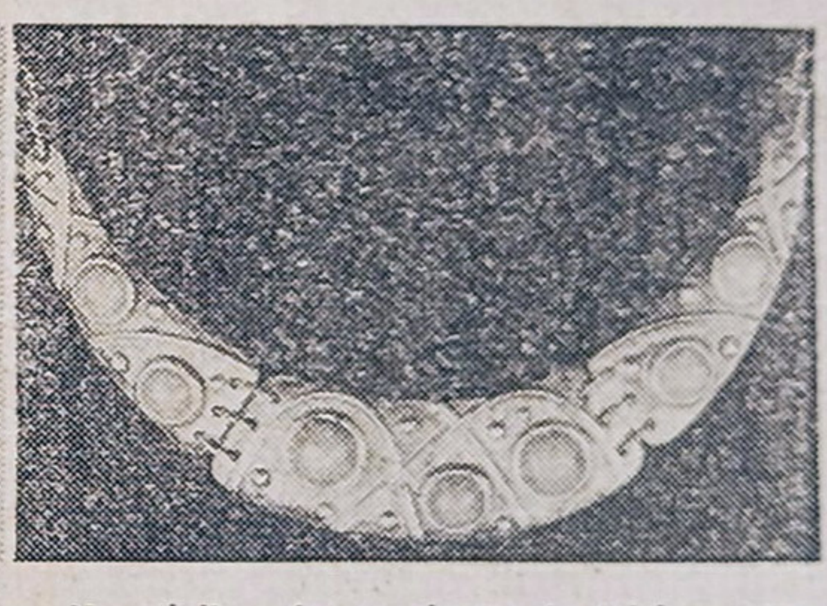

Naszyjnik o interesującym kształcie z oprawionymi w srebro koralami.

«ORNO» — znaczy zdobić

Pierścionki, bransolety, naszyjniki, spinki — to specjalność Spółdzielni Pracy Rękodzieła Artystycznego „Orno". Ręcznie wykonana w srebrze biżuteria cieszy się dużym powodzeniem, a wyroby „Orno" znane są już za granicą jako „polskie srebro".

Spółdzielnia została założona przed 20 laty z inicjatywy artystów plastyków, pragnących podtrzymać tradycje rzemiosła w zakresie zdobnictwa. Stąd właśnie nazwa „Orno" — co po łacinie znaczy „zdobić". Plastycy i rzemieślnicy zrzeszeni w Spółdzielni używają w zasadzie wyłącznie prostych narzędzi, jakimi posługiwali się rękodzielnicy z bractwa złotniczego, dzia-

II ZLOT POCZT HARCERSKICH

GDAŃSK 14-16 III. 1970 R.

WŚRÓD LICZNYCH specjalności uprawianych przez drużyny harcerskie, coraz większe „prawo obywatelstwa", coraz większe uznanie zdobywają drużyny pocztowe. Można je spotkać już w każdej niemal chorągwi, w wielu hufcach.

Do bardziej znanych należą Harcerskie Poczty: w Szczecinie, Rybniku, Gdańsku, Krakowie, Rawiczu, Rzeszowie, Nowym Sączu, Gorzowie Wielkopolskim i inne. Praca ich polega nie tylko na zabawie „w pocztę", czy zdobywaniu sprawności, ale i na projektowaniu, wykonywaniu matryc, odbijaniu i drukowaniu harcerskich nalepek pocztowych.

Harcerscy pocztowcy nawiązują w swojej pracy do tradycji Harcerskiej Poczty Polowej z dni Powstania Warszawskiego. Do ofiarnej służby swoich rówieśników, dziewcząt i chłopców z Szarych Szeregów, którzy w dniach bohaterskiej walki ludności stolicy z hitlerowskim okupantem, byli pocztowcami i listonoszami-zwiastunami dobrych i jakże często tragicznych wieści.

Dzisiaj harcerze obsługują przeróżne imprezy — zloty, zlazy, konferencje harcerskie, obozy, uroczystości regionalne itp. Wydają z tych okazji specjalne znaczki, datowniki, nalepki.

Organizatorem II Zlotu Poczt Harcerskich (I-szy odbył się w 1967 r. w Rawiczu) była Komenda Hufca Gdańsk-Wrzeszcz. Okazją zaś do tej imprezy — 10-lecie działalności pocztowej 16 drużyny harcerskiej im. A. Małkowskiego — zwanej „Czarną Szesnastką".

Trudny początek

POCZĄTKI pracy naszej Harcerskiej Poczty były bardzo trudne — wspomina druh hm Witold Rusiniak, drużynowy „Czarnej Szesnastki". — Rzucona w 1959 roku myśl kiełkowała, dojrzewała i kształtowała formy naszych przyszłych harcersko-pocztowych osiągnięć. Na przypadkowych spotkaniach, w prywatnych rozmowach, na zbiórkach w hufcu — ciągle wracaliśmy do „pocztowego" tematu.

— Jak to zwykle bywa — gdy coś nowego powstaje i ma sens istnienia, a najważniejsze — gdy „chwyta" — znajdują się wówczas chętni do nowej, nieznanej jeszcze pracy, rozkręcają ją i kontynuują. Tak właśnie było w przypadku naszej drużyny.

Historyczną datą powstania Poczty Harcerskiej w Gańsku — to dzień 22 lutego 1959 r. W tym to dniu na uroczystym kominku zorganizowanym przez hufce harcerek i harcerzy we Wrzeszczu, urządzono specjalne stoisko Poczty Harcerskiej obsługiwane przez druhów Nakoniecznego i Celesza z Kręgu Pracy Drużynowych Zuchów „Neptunowego Trójzęba".

Stoisko cieszyło się dużym powodzeniem, podobało się uczestnikom kominka, a nieduże, na próbę wykonane nakłady znaczków szybko zostały wykupione. Od tej pory datuje się działalność Poczty Harcerskiej Gdańsk-Wrzeszcz...

I duże sukcesy

W CIĄGU dziesięciu lat istnienia harcerze z gdańskiej „Czarnej Szesnastki" wydali około 100 rodzajów znaczków, kopert i kart z nadrukami oraz 5 datowników. Najliczniejsze i najbogatsze emisje wydano z okazji obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego i Zlotu Chorągwi Gdańskiej w Garczynie, na Zlaz Hufca z okazji jego 10-lecia, oraz podczas harcerskich obchodów 25-lecia PRL.

Z działalnością pocztową gdańskich harcerzy można się spotkać na wybrzeżu bałtyckim, w Rawiczu, Łodzi, Warszawie, w całej niemal Polsce. Wydawane bowiem przez nich znaczki cieszą nie tylko harcerzy gdańskich, ale są również poszukiwane przez kolekcjonerów-filatelistów z całego kraju.

Nakłady poszczególnych znaczków, jak na warunki harcerksie, są bardzo duże — dochodzą nawet do tysiąca sztuk. Wydawane znaczki, winietki, arkusiki — całostki, a nawet okolicznościowe datowniki pocztowe są nie tylko pamiątką z obchodzonych uroczystości, ale stanowią także artystyczne miniaturki mogące konkurować z wydaniami znaczków pocztowych.

Na tropie bohatera

NA SWÓJ JUBILEUSZ Harcerska Poczta Hufca Gdańsk-Wrzeszcz przygotowała wystawę filatelistyczną. Jej celem było zaprezentowanie — na zakończenie chorągwianej kampanii „Na tropie bohatera", obchodów 100 rocznicy urodzin Lenina i 25-lecia wyzwolenia Gdańska — zbiorów filatelistycznych, kolekcjonowanych przez harcerzy i instruktorów z całej Polski.

Ogółem zgłoszono 35 zbiorów na 104 gabloty — z Łodzi, Krakowa, Nowego Sącza, Opola, Rybnika, Leszna, Warszawy, Rawicza, Szczecina, Rzeszowa no i z Gdańska. Wystawa składała się z dwóch części. Pierwszą część stanowiły zbiory znaczków harcerzy i instruktorów o tematyce harcerskiej — „Poczta Harcerska w powstańczej Warszawie", „Harcerstwo w filatelistyce polskiej", oraz zbiory o tematyce historycznej, walk o narodowe i społeczne wyzwolenie, nigdy więcej wojny itp. Drugą część wypełniły zbiory Poczt Harcerskich z całego kraju.

Poczta Hufca Gdańsk-Wrzeszcz wydała z okazji Zjazdu i wystawy bloczek 6 znaczków (w 6 kolorach) pod nazwą „Od Westerplatte do Berlina", reprodukowane z lewej strony, oraz dwa datowniki okolicznościowe.

Wystawę licznie zwiedzała młodzież szkół gdańskich, harcerki i harcerze, filateliści-kolekcjonerzy. Harcerze z „Czarnej Szestnastki" obsługujący stoisko pocztowe, mieli pełne ręce roboty. Każdy bowiem pragnął zaopatrzyć się w piękne wydania znaczków harcerskiej poczty, uzyskać okolicznościowe stemple na kopertach, skorzystać z harcerskiej skrzynki pocztowej.

Wszystko to najlepiej świadczyło o pożytecznej, ciekawej i potrzebnej pracy jaką od dziesięciu lat prowadzą harcerze z „Czarnej Szesnastki" w Hufcu Gdańsk-Wrzeszcz.

Im więc z okazji jubileuszu i wszystkim pocztom harcerskim w kraju z okazji II Zjazdu „Świat Młodych" składa serdeczne życzenia dalszego, pomyślnego rozwoju pocztowej działalności.

J. KASPRZAK

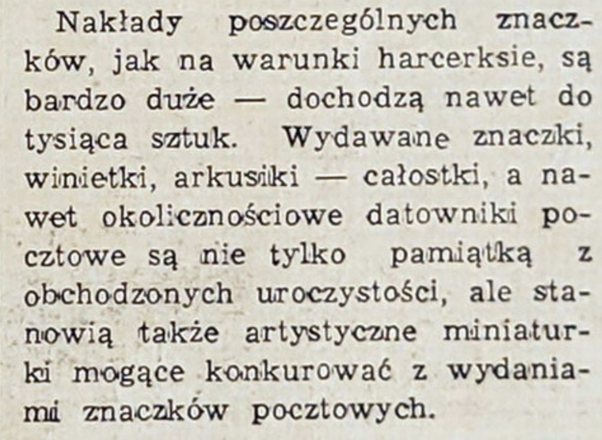

Znaczek Poczty Harcerskiej w Środzie Wlkp. wydany z okazji Zlotu i nadania Hufcowi imienia gen. Henryka Dąbrowskiego.

POCZTA HARCERSKA RYBNIK
NA HARCERSKIEJ WYSTAWIE
FILATELISTYCZNEJ W GDAŃSKU
* 14 — 22. III. 1970 *

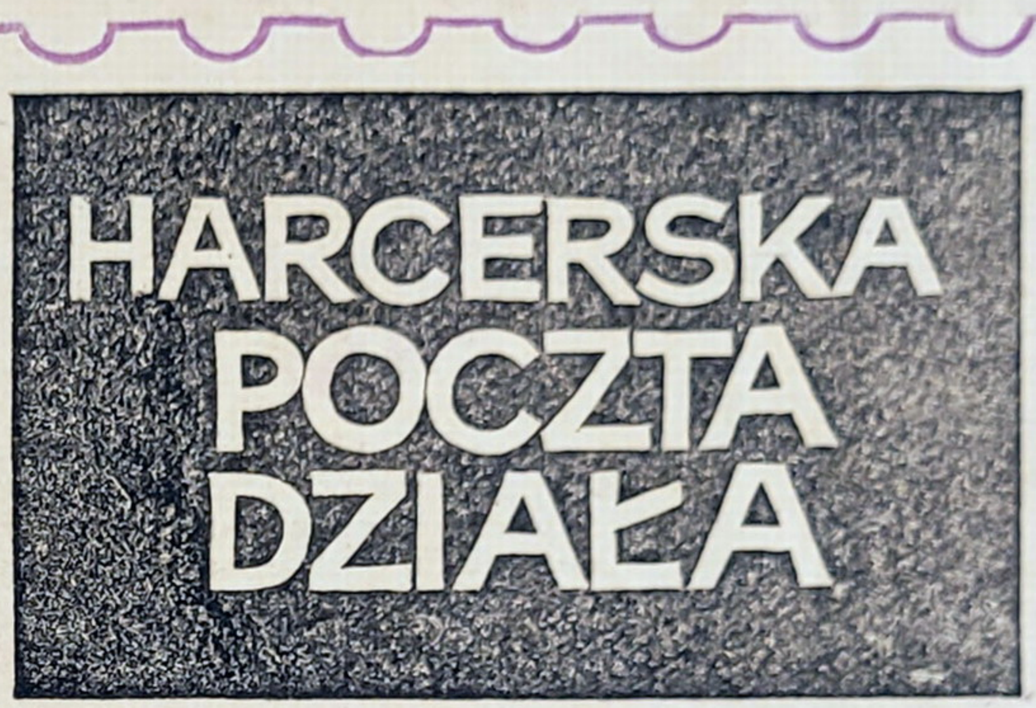

Do jednej z najstarszych w kraju należy Harcerska Poczta Rawicz. Harcerze-pocztowcy poznali cały tok pracy urzędu pocztowego — od skrzynki do ambulansu włącznie, a gdy zaszła potrzeba umieli pomóc dorosłym listonoszom w ich trudnej, przedświątecznej pracy. Przed każdymi świętami, podczas ferii harcerki i harcerze z zastępów pocztowych przydzielani byli do pomocy przy doręczaniu przesyłek.

Tak to właśnie Harcerska Poczta w Rawiczu zapoczątkowała w harcerstwie ruch pocztowy...

Zam. 1197 K-68

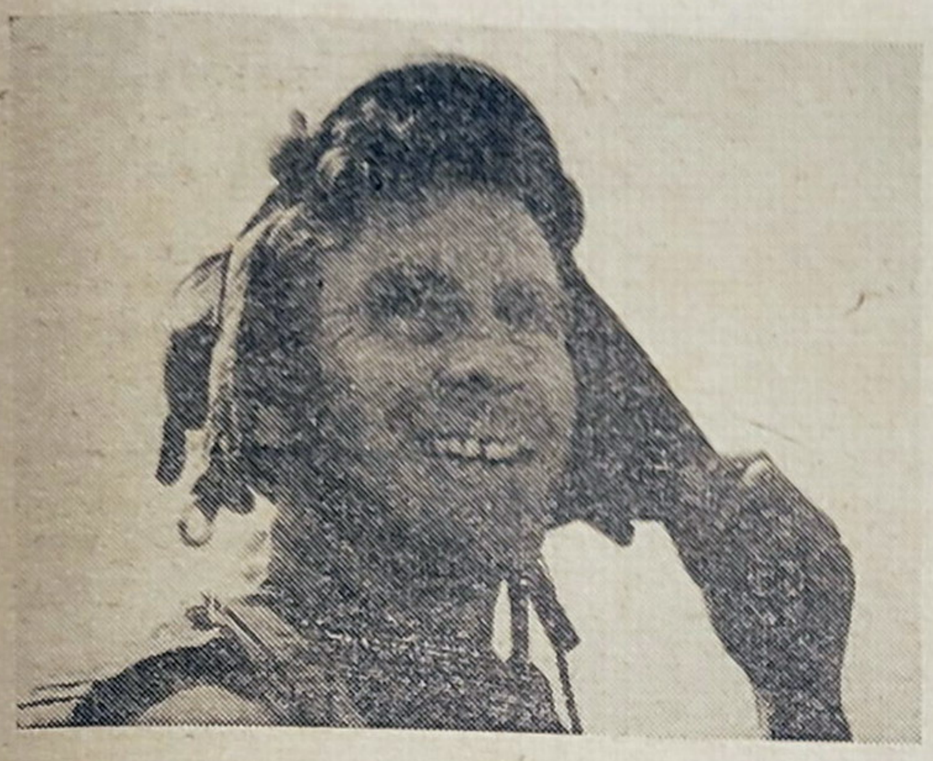

CZWARTY Z „RUDEGO"

NA EKRANY telewizorów weszła nowa seria „Pancernych". Janusz Przymanowski i jego żona, Maria, napisali scenariusz o dalszych losach załogi i wiodą obecnie czwórkę „Pancerniaków" bojowym szlakiem aż do Berlina. Kilka odcinków z tej nowej serii już widzieliście. W pierwszym zobaczyliście, jakim sposobem i skąd dołączył do załogi Tomasz Czereśniak.

Tomuś, jako czwarty członek załogi, mimo początkowej nieśmiałości i pewnej ślamazarności został przyjęty przez chłopaków z „Rudego" życzliwie i po koleżeńsku.

Aby „włączyć" także i czwartego czołgistę do grona sympatyków „Pancernych" — przedstawiam Wam dziś na łamach „Świata Młodych" Tomusia, czyli Wiesława Gołasa.

Wiesław Gołas jest aktorem warszawskiego Teatru Dramatycznego. Aktualnie występuje w sztuce „Czarna komedia".

— Panie Wiesławie, czy nie miał pan oporów przyjmując propozycję zagrania roli Tomka Czereśniaka?

— zaczynam rozmowę z aktorem — **Tomek wyraźnie „odstaje" od pozostałej trójki bohaterów. Jest nieco „toporny", niezdarny, początkowo nawet tchórzliwy...**

— To prawda. Jest inny, niż pozostali członkowie załogi, a przede wszystkim niezwykle poważny. Poza tym trzeba pamiętać o tym, że młody Czereśniak wcale nie chciał być żołnierzem. Ojciec kazał mu iść do wojska, więc poszedł... Dopiero w czasie działań wojennych Tomasz staje się świadomym żołnierzem, a nawet bohaterem. Jego przemiana z nieśmiałego chłopa ze wsi w żołnierza patriotę, który broni ojczyzny, jest wyraźna i przekonywająca. Właśnie ta ewolucja osobowości Tomka zafrapowała mnie najbardziej. Dawała możliwości pokazania tej postaci barwnie i bogato. A to ma dla aktora decydujące znaczenie.

— Ta przemiana osobowości Tomka odbywa się na oczach widzów. Myślę, że przyczyniła się do niej także pozostała trójka chłopców z załogi?

— Naturalnie. Janek, Gustlik i Grigorij przyjmują Tomka serdecznie. W życiu frontowym, przy wykonywaniu zadań bojowych, dają mu niejednokrotnie przykład poświęcenia, odwagi, koleżeństwa i solidarności. Tomek wiele się od nich nauczył.

— Proszę nam powiedzieć, które sceny sprawiły panu największą trudność?

— Och! Nigdy nie zapomnę mojego przedzierania się przez front. Jak wiadomo, ciągnęliśmy losy i na mnie wypadło zawiadomić polskie dowództwo o planowanym zatopieniu miasteczka. Był to najtrudniejszy etap moich zdjęć. Przez wiele godzin musiałem „kąpać" się w bagnie i błocie, czołgać w deszczu, w przemoczonym, przylegającym do ciała mundurze. Chwilami miałem wszystkiego dość. Byłem potwornie zmęczony, brudny, zmarznięty... To były ciężkie dni.

— A zdarzały się niefortunne przeszkody?

— Tak, podczas realizacji sceny najazdu czołgu na most (w odcinku z niemieckim desantem), który Niemcy chcą wysadzić, a my mamy temu zapobiec. Otóż siedziałem na czołgu, a „Rudy" podczas manewrowania w pełnym biegu przekręcił lufę tak nieostrożnie, że... strącił mnie jak jabłko z drzewa na ziemię. I w dodatku wcale tego nie zauważył. Dobrze, że upadłem kilka metrów od gąsienic czołgu. Nic mi się nie stało, poza lekkim potłuczeniem.

— Zdaje się, że przygotowuje pan widzom niespodziankę w postaci nowego filmowego bohatera? Podobno powierzono panu rolę partyzanta „Płomienia" w filmie pt. „Czarne Parzenice"?

— Wolałbym jeszcze nic nie mówić na temat tego filmu. A ponieważ jestem przesądny, to nie powiem także o trzech następnych filmowych propozycjach, które mi złożono.

— Życzymy więc powodzenia! Oby pana następne kreacje były przyjęte z równą sympatią jak postać Tomka Czereśniaka w „Pancernych".

ALICJA WIELGOŁAWSKA

P.S. A u „Pancerniaków" — wesele! W ostatnim odcinku zobaczymy ich w odświętnej gali. Jeszcze co prawda w mundurach, ale już po wojnie. Marusia i Honoratka (narzeczona Gustlika, tak jak i on rodem ze Śląska) ukażą się nam w całej swej krasie. W białych ślubnych sukniach i z kwiatami we włosach. Tylko Lidka będzie smutna, choć niedługo. Bo właśnie taką smutną odnajdzie ją w sadzie pod jabłonką Grigorij. No i wiadomo... Oświadczyny, zaręczyny i trzeci ślub.

Tylko Tomuś Czereśniak wróci do rodzinnej wsi jako kawaler.

MOI DRODZY!

NAZBYT DŁUGA zima dała się nam wszystkim porządnie we znaki. Zaczynamy wzdychać do ciepłych słonecznych dni lata. Niektórzy z Was, oddając się wspomnieniom, przypominają sobie zeszłoroczne pytania bez odpowiedzi. Przeczytajcie, co pisze **Ola z Łodzi:**

„Droga Kropeczko! W roku 1969 byłam na wakacjach nad morzem. Pewnego razu wieczorem, gdy zgasiliśmy główne światło, a zapaliliśmy małą lampkę, zobaczyłam **ćmę.** Kiedy leżałam już w łóżku i nie mogłam zasnąć, zaczęłam liczyć **ćmy. Jedna ćma, dwie ćmy, trzy ćmy, cztery ćmy...** Za piątym razem nie wiedziałam, jak powiedzieć: czy pięć ciem, czy pięć ćmy, czy pięć ćma. Nie wiem też jak się pisze: pięć ciem, czy pięć ćem?".

— Olu, tylko pierwsza wymieniona przez Ciebie forma jest poprawna. Dopełniacz od rzeczownika **ćma** brzmi: **ciem.** Możemy więc liczyć: **pięć, sześć, siedem...** — i tak dalej — **ciem.** Jeśli chodzi o pisownię, to nie powinnaś mieć wątpliwości. Już sam wygląd wyrazu (ćem) zaskakuje. Miękkie „ć" oznaczamy w piśmie literę „ć" tylko na końcu wyrazu **(kmieć, jeść)** lub przed spółgłoską, **(ćma, ćmić, ćwiczenie, ćwiartka, ćwikła, ćwiek** i rzadko dziś używane **ćpać** — co znaczy: żarłocznie jeść). Nigdy przed samogłoską **(ciało, ciupaga, cios, dziecięcy).**

Kto chce, niech prześledzi, czy takie same prawa rządzą pisownią miękkiego: n, s, z.

Wojtek Nowak z Poznania (kl. VIII c.) pyta: »Które wyrażenie jest poprawne: „ja chciałem się zapytać", czy — „ja chciałem zapytać"? Sprzeczam się ciągle o to zdanie z moim kolegą; który z nas miał rację?«

— I Ty Wojtku, i Twój kolega. Obie formy są poprawne, z tym, że czasownik **zapytać się** — jest wzmocnioną formą czasownika **zapytać.** Radzę jednak nie szafować zbyt często owym **„się"** bez potrzeby.

I jeszcze jeden list: „Kropeczko, w okresie przedświątecznym wszyscy wysyłamy sporo kartek z życzeniami. Jak się powinno pisać: **Z okazji zbliżającej się Wielkanocy czy Wielkiej nocy." — Jola K. ze Śląska.**

Przed **Wielkanocą (Wielką Nocą)** wysyłamy życzenia „z okazji świąt **Wielkanocy"**, rzadziej **„Wielkiej Nocy"** (oddzielnie, dużymi literami). Ta druga forma jest starsza i zaczyna wychodzić z użycia.

Życzę Wam smacznego wielkanocnego (nie: wielkonocnego) mazurka i dużo słońca w dzień śmigusa-dyngusa.

Wasza
mgr KROPECZKA

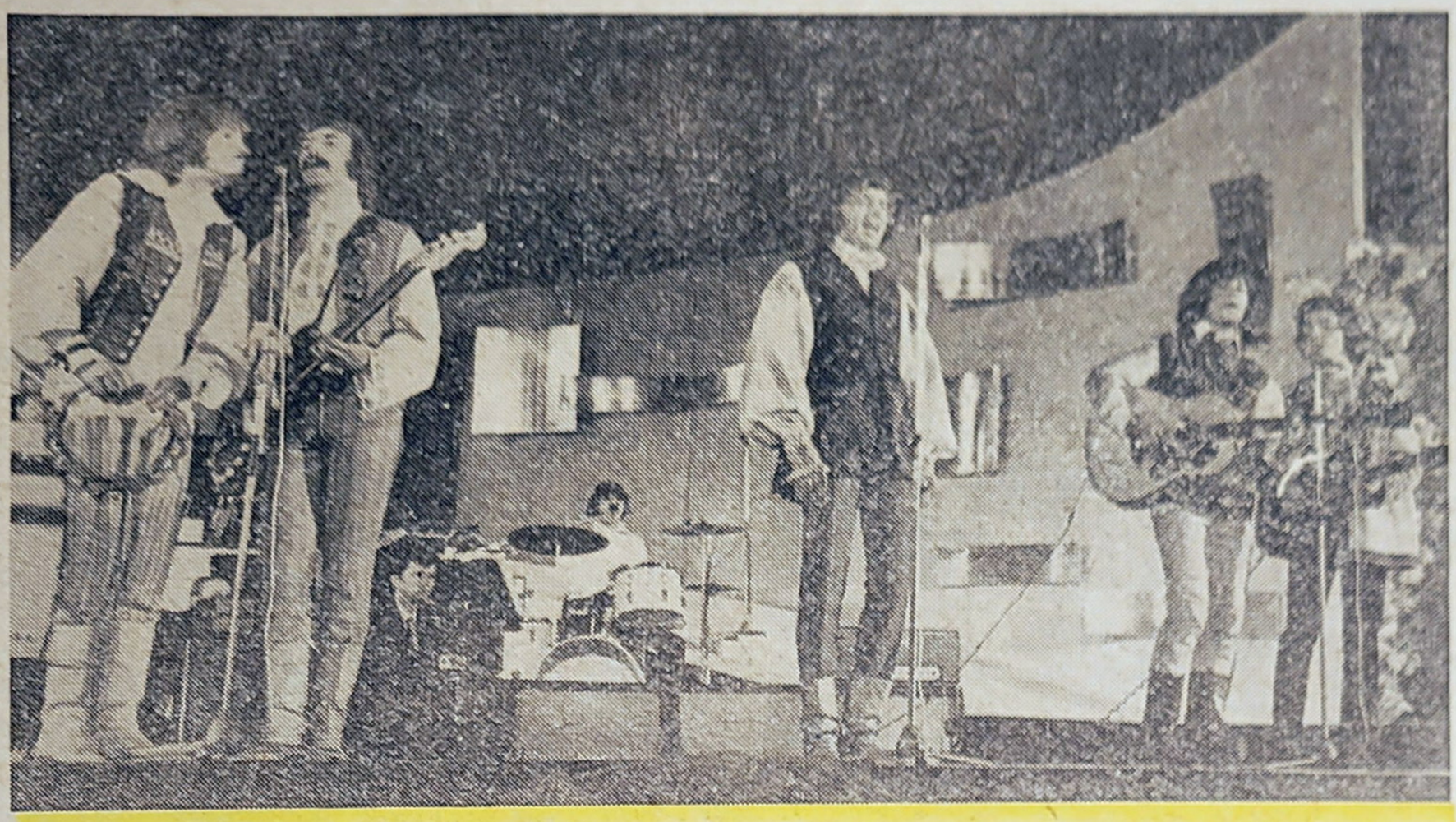

„NO-TO-CO"

NIE BYŁO ICH W KRAJU prawie dwa miesiące. Powrócili syci chwały i szczęśliwi z odniesionych sukcesów. Opowiadają teraz swe wrażenia:

— Koncertowaliśmy w wielu miastach Stanów Zjednoczonych i Kanady — mówi kierownik zespołu, Piotr Janczerski. — Występowaliśmy w Chicago, Buffallo, Detroit, Nowym Jorku, Filadelfii, Bostonie, a w Kanadzie — w Toronto i Montrealu.

— Na nasze koncerty przychodziła młodzież polonijna z różnych środowisk — wyjaśnia Jurek Krzemiński. — Ta wychowana na wzór amerykański, ciekawa była polskiego big-beatu, ta kultywująca rodzinne — religijne tradycje świątecznych Jasełek i Pastorałek chciała posłuchać polskich kolęd. Nasz program podobał się wszystkim. Znalazły się w nim zarówno nasze najnowsze utwory big-beatowe jak i pastorałka: „Hej, kolęda deska!"

— Porównywano nas często ze „Skaldami", którzy przed nami odwiedzili Stany Zjednoczone. Oto opinia o nas zamieszczona w „Dzienniku Związkowym":

„Zespół „No-To-Co" jest mniej hałaśliwy od „Skaldów". Piosenki ich są bardziej melodyjne, a Piotra Janczerskiego można było nie tylko słyszeć, ale i rozumieć, co śpiewa. Jednym słowem big-beat, nadający się i do słuchania, i do oglądania (barwne stroje, różnorodne ludowe instrumenty, elementy tańca). Młodzieżowa publiczność przyjmowała „No-To-Co" skandowanymi brawami. To wielki sukces dla zespołu. Wydaje się, że dopiero „No-To-Co" otworzyło drogę do Ameryki polskim zespołom młodzieżowym."

— Największą sympatią cieszyliśmy się w Chicago — mówi Tadek Kawecki. — Rozpoznawano nas na ulicach, w sklepie, pomagano przy zakupach. Nasza popularność jeszcze bardziej wzrosła, gdy Piotr Janczerski znalazł w hallu hotelu złoty zegarek i oddał go portierowi. Nazajutrz właściciel zegarka pan Semen Rudowyj chwalił nas publicznie i tak dziękował, że byliśmy zażenowani. Oddanie czyjejś własności w tym kraju, gdzie liczy się tylko pieniądz, nie należy widać do zjawisk normalnych. Zdziwienie mieszkańców Chicago było jeszcze większe, gdy dowiedzieli się z prasy (tak, tak, nawet prasa pisała o tym „wydarzeniu"), że Piotr odmówił przyjęcia wynagrodzenia. Polacy byli z nas wyraźnie dumni i przy różnych okazjach podkreślali swe pochodzenie i chęć łączności z ojczyzną. Sympatia naszych rodaków wzrosła do nas wyraźnie!

— Tak wyraźnie — wtrąca Janek Stefanek — że Tadka zaprowadziła aż na ślubny kobierzec...

Tadek umilkł speszony, a chłopcy wyjaśnili, że oblubienicą perkusisty została 18-letnia Polka z Chicago — Małgosia Grabczyńska. Dalszych losów młodej pary nie znamy.

Na pytanie: jakie projekty artystyczne ma grupa po powrocie do Polski — usłyszeliśmy w odpowiedzi:

— W marcu koncertujemy w województwie warszawskim i olsztyńskim. W kwietniu wyjeżdżamy do Francji, w maju prawdopodobnie do Australii. Nagraliśmy aktualnie kilka piosenek w języku angielskim z myślą o Australii. Są to: „Jare żytko", „Z soboty na niedzielę", „Gramofon" i „Siedzę nad brzegiem morza".

W lecie pracować będziemy nad rozszerzeniem dotychczasowego repertuaru i nagramy kilka nowych utworów. A jesienią chcemy wystąpić z pewną niespodzianką. Otóż marzy nam się założenie Młodzieżowego Teatru Muzycznego. Nawet jest już lokal na placu Grzybowskim, do którego przenosi się Teatr Żydowski. Zamierzamy w porozumieniu z Dyrekcją Teatru wystawić we wrześniu montaż poetycko-muzyczny pt.: „Polska piosenka na wojennych szlakach". W przyszłości może uda nam się wprowadzić na stałe cykl widowisk literacko-muzycznych dla dzieci i młodzieży.

*

No-To-Co — to zespół, który uznany jest obecnie za jeden z najlepszych w Polsce (nagroda Prezesa TV i Ministra Kultury oraz I miejsce w Radiowym Plebiscycie Boba Lewandowskiego z Chicago na najpopularniejszy zespół polski w Ameryce). Charakterystyczny dla tego zespołu jest przede wszystkim sposób interpretowania polskich melodii, wyróżniający się naturalnością i ogromną swobodą a jednocześnie doskonałym muzycznym opracowaniem każdego utworu.

Grupa Piotra Janczerskiego ma szansę długo jeszcze odnosić sukcesy na obu półkulach świata. Życzymy im tego serdecznie. A instytucji „Pagart" (Polska Agencja Artystyczna) gratulujemy udanego pomysłu pokazania „No-To-Co" w Ameryce.

ALICJA WIELGOŁAWSKA
Zdjęcia:
K. Adamowski
M. Karewicz

TELEKONKURS ŚWIATA MŁODYCH

NIE OD DZIŚ wiemy, i Wy też wiecie, że tysiąc przygód jest na tym świecie. Wszystkie są dobre w wiosennej porze, są i niekiepskie w telewizorze. Bo tam atrakcja jest co się zowie, co od nauki czleka odrywa... Kłócą się panie, biją panowie, a człowiek patrzy i odpoczywa. Proponujemy zatem tym wszystkim, którym wzrok w szklanym ekranie tonie, nasz telekonkurs — mecz towarzyski. Zadania są na tej samej stronie.

NAGRODY:

1 APARAT FOTOGRAFICZNY
5 PIŁEK DO SIATKÓWKI
20 BONÓW KSIĄŻKOWYCH

WARUNKI KONKURSU:

NA NASZEJ „teleplanszy" pojawiło się dziś jednocześnie 10 postaci — bohaterów najbardziej znanych filmowych serii telewizyjnych. Na skutek przerw w łączach poodłączały się od tych postaci ich nakrycia głowy i umknęły charakterystyczne dla nich powiedzonka. Przepraszamy za usterki.

WASZYM ZADANIEM JEST:

1) Przyjrzeć się uważnie fotografiom umieszczonym na planszy i wpisać filmowe imiona albo nazwiska (nie nazwiska aktorów) w pierwszej rubryce załączonego kuponu. Postacie filmowe oznaczone są cyframi od 1 do 10.

2) Dopasować do głów bohaterów filmowych charakterystyczne dla nich nakrycia głowy (zamieszczone w „pisankach") i wpisać je obok właściwej postaci w drugiej rubryce kuponu liczbami rzymskimi od I do X.

3) Dobrać do tak ubranych postaci ich powiedzonka i oznaczyć je w trzeciej rubryce kuponu literami od a do j.

4) **Wypełniony kupon nakleić na kartkę pocztową i przesłać pod adresem: „Świat Młodych", Warszawa, ul. Mokotowska 24 do dnia 10 kwietnia 1970 r.**

Wśród uczestników konkursu rozlosowane zostaną nagrody wymienione wyżej. Ponieważ jest to „mecz towarzyski", podpowiadanie w tej sprawie uważamy (wyłącznie w czasie wiosennych ferii) za dozwolone.

OD PRZYGODY DO PRZYGODY

POWIEDZONKA:

a) Wychowałem trzech synów tak, że nigdy nie przyniosą ujmy memu nazwisku.

b) Pan hetman mnie przełożonym nad artylerią kamieniecką uczynił.

c) Nie mogę się doczekać kolacji...

d) Pocieszże się, hajduczku!

e) Do widzenia, my jeszcze wstrieczimsa.

f) Jak do was, kapral, będę miał interes, to kobyłę na rozmowe poślę!

g) Baca, Baca, tu Ryży Koń! Przekazuję słuchawkę!

h) Przywiodłem kasztelankę Agnieszkę.

i) Nie cierpię pana Michała!

j) Toż ci godom, kluku zatracony, jak mi być!

1 2 3 4 5

6 7 8 9 10

KUPON KONKURSOWY „OD PRZYGODY DO PRZYGODY"

Imię lub nazwisko bohatera filmowego (a nie aktora)	Nakrycie głowy (cyfry rzymskie)	Powiedzonko (małe litery alfabetu)
1.		
2.		
3.		
4.		
5.		
6.		
7.		
8.		
9.		
10.		

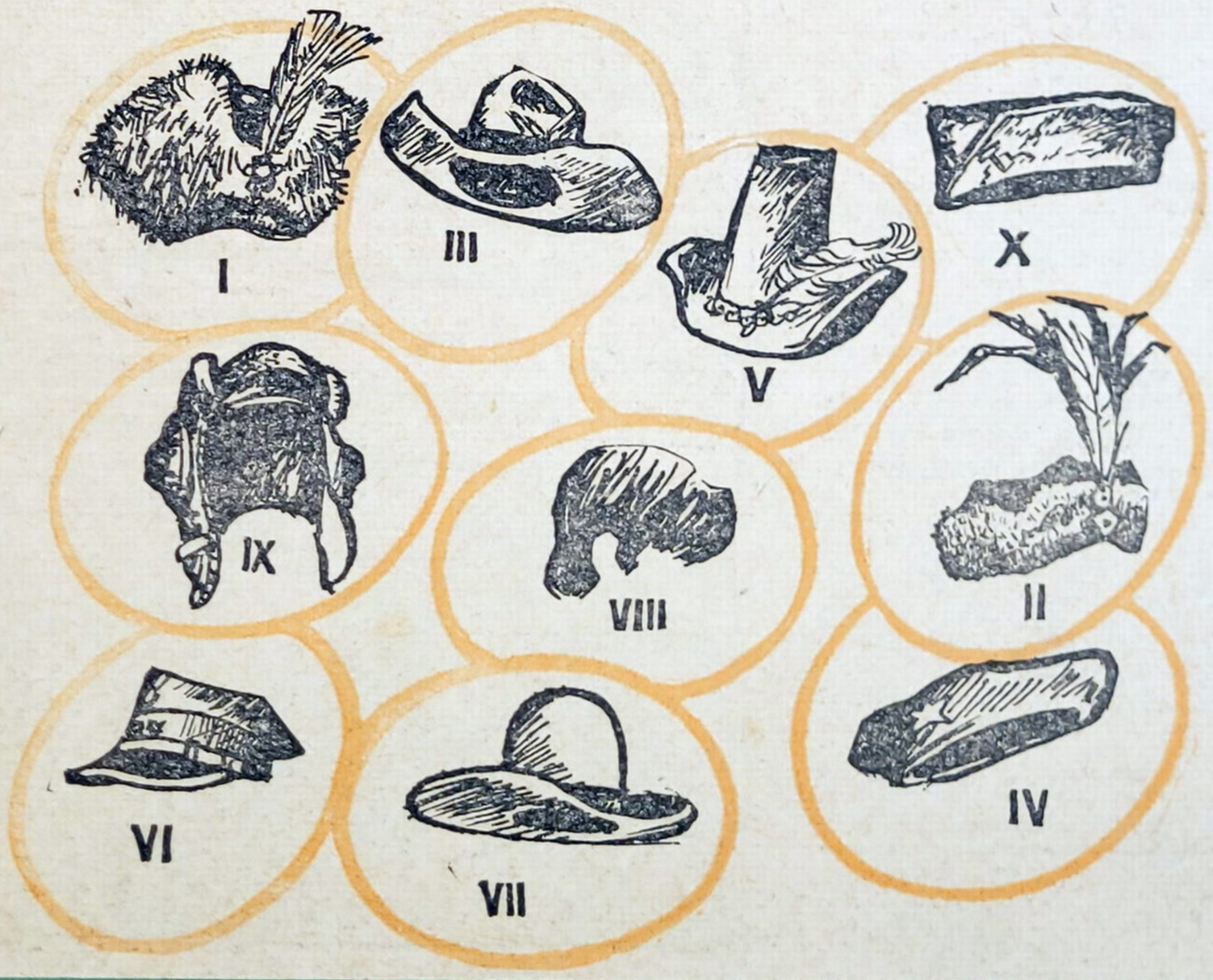

Harpunnik z »DELFINA«

Napisał JURIJ LEUSZEW

Tłum. A. Błażejewski

ALEKSY nie ukończył specjalnych kursów dla harpunników. Nie pływał na „akademiku", szkolnym statku wielorybniczym, na którym doświadczeni strzelcy szkolili swych młodych następców. Będąc jeszcze w armii przeczytał w gazecie ogłoszenie, że wielorybnicza flotylla poszukuje kucharzy.

— Ot — pomyślał sobie — po zwolnieniu z wojska pojadę polować na wieloryby.

— Słusznie, będziesz wielorybnikom kaszę warzył — podkpiwali koledzy. — Mówią, że forsę tam się łopatami zgarnia.

Myśl o dalekich rejsach i nieznanych krajach zaprzątała mu głowę. I już w pierwszym dniu cywilnego życia Durandin udał się do wydziału kadr wielorybniczej flotylli.

— Zawód? — zapytał inspektor — kok?

— Co, proszę?

— Pytam — kucharz?

— Kucharz. Całą służbę w wojsku przejeździłem na polowej kuchni.

— Przejeździłeś, powiadasz — uśmiechnął się inspektor — kurczaczka spitrasić potrafisz lub, powiedzmy, szaszłyczek z duszonymi pomidorami? Nam, bratku, potrzebni są wykwalifikowani kucharze, nie byle pichciarze z polowej kuchni.

— Przyjmijcie do czegokolwiek bądź — żałośnie wybąkał Durandin.

— Do czego cię wezmę? Na morzu potrzebni są specjaliści. Zresztą, oto na „Delfinie" potrzebny jest sprzątacz.

Aleksy z otuchą spojrzał na inspektora.

— No dobra, dawaj dokumenty — zgodził się inspektor.

Na wielorybniku wszystko go zadziwiało.

— Ojczulku — zagadnął starszego już marynarza — co to za postument?

— Kołowrót. Kotwicę na nim podciągają. W ten sposób cielska zabitych wielorybów holują do burty.

— A tęgie te rybska?

— Sam jesteś rybsko. Wieloryb to zwykły ssak. Ma płuca. I dlatego na wierzch wypływa, oddycha i wypuszcza przy tym strumień wody jak fontannę. Wedle tej fontanny celują. Zdarzają się olbrzymie do trzydziestu metrów.

— A kto u was harpunnikiem? Taki szczupły w kaszkiecie?

— Ach nie, to kapitan. Harpunnika na razie nie mamy. Jest na urlopie i w rejs nie pójdzie.

Zamilkł i po chwili dodał:

— Nie wiadomo, kogo przyślą.

Durandin stał na warcie przy trapie, kiedy na brzegu, w pobliżu „Delfina" zjawił się człowiek silnie zbudowany w granatowym, gabardynowym płaszczu. Zatrzymał się, wypluł resztę papierosa i czubkiem buta starannie rozgniótł niedopałek, po czym szybko wbiegł na schody.

— Do kogo?

— Sam do siebie — odrzekł nieznajomy i z kolei zapytał:

— Kap w domu? — wskazał na mostek, gdzie była kajuta kapitana.

— Jest u siebie — powiedział szturman Owietkow — a wy na pewno nowy harpunnik?

— Zgadliście. Dwadzieścia lat w dalekowschodnim wielorybnictwie przewałęsałem się. No cóż, poznajmy się.

*

Pierwszy wieloryb! Wielorybnicy pędzą na pierwsze polowanie, jak na sensacyjny film. Kiedy po długim oczekiwaniu rozległ się na „Delfinie" „dzwon wielkiego połowu", załoga się ożywiła.

— Wieloryby!

— Zobaczymy, jakiego dostaliśmy harpunnika.

Ludziska sypnęli na mostek. Każdy usiłował obrać miejsce najwyższe, najdogodniejsze.

— Kaszalot — wpatrując się w fale, powiedział marynarz Mazur — kiedy się zanurzał, bardzo się wygiął.

— I fontannę miał pochyłą — potwierdził Cwietkow — nie taką jak bluwal — wysoką i równą jak palma.

— Jeden jakiś nędzny kaszalocik, a tyle hałasu — wymamrotał zawiedziony elektryk Kwasow.

— Lepszy jeden na linie, niźli dziesięć w morskiej głębinie — sentencjonalnie zauważył Mazur. — Z kaszalotem mniej ambarasu. Pod wodą siedzi długo, za to potem leży na wodzie jak kłoda, posapuje, podejdź i wal!

Kaszalot rzeczywiście leżał na wodzie nieruchomo.

— Mały biegi! — zakomenderował Gribow.

— Stop!

Statek prawem bezwładności posuwał się naprzód. Harpunnik wycelował. Zaraz zagrzmi strzał! Naraz wieloryb przekręcił się i uszedł w wodę.

— Masz kłodę — złośliwie powiedział Kwasow — podejdź i bierz!

Wieloryb zjawiał się w najmniej spodziewanych miejscach. Nie zbliżał się na odległość strzału. To znów odwrotnie — wypływał bliziutko, lecz zanim harpunnik się zamierzył, znów znikał pod wodą. W duchu Gribow robił sobie wyrzuty, że nie zaniechał go już na początku polowania. Osiem godzin włóczy czy się za wielorybem bez skutku. Gribow zrozumiał, że naciął się na „profesora". Stary wyga widocznie nieraz doświadczył na własnej skórze, czym grozi mu spotkanie z wielorybnikiem. Takich harpunnicy zwykle unikają. Lecz Gribow postanowił nie rezygnować. Co pomyślą o nim towarzysze, jeśli nie dostanie kaszalota? Uważnie obserwował powierzchnię wody. Wieloryb nie ukazywał się.

— Utonął — żartowali na mostku.

— Ze strachu. Jakże nie stchórzyć przed takim bohaterem!

— Zginęliśmy, braciszkowie. Jeżeli on z jednym kaszalotem cały dzień się zabawia, co będzie kiedy ukażą się szybkie finwale i sejwale?

— Postój tutaj, poobserwuj — poprosił Gribow Aleksego — jak wynurzy się, zapamiętaj dokąd się skieruje. A ja pójdę rozprostować kości, zdrętwiały mi ręce i nogi.

Harpunnik odszedł. Aleksy zbliżył się do wyrzutni. Z respektem spojrzał na sterczący w lufie harpun. Przed nim pieniły się grzywy fal. „Jak wśród nich dojrzeć fontannę?" — pomyślał.

Wtem naraz przed samym dziobem statku ukazał się kaszalot. To był naprawdę jakiś nienormalny wieloryb. Wypłynął z głębi i krótkimi płetwami poklepywał się po lśniących bokach, jakby sobie podrwiwał. Aleksy zacisnął dłonie na rękojeści armatki. Kaszalot podpływał. W tej chwili statkiem zakołysało. Aleksy szarpnął za cyngiel. Naturalnie — pudło!

— Ależ Durandin! — zachichotali na mostku — ten daje szkołę!

C.d.n.

Rys. M. Majewski

DRAMAT MAŁEJ LWICY

NIEDAWNO, strażnik rezerwatu Wajir w Kenii musiał zastrzelić lwicę, która terroryzowała mieszkańców okolicznych wsi, zabijała wielbłądy, porywała bydło. Zostały po niej dwa małe lwiątka. Zaopiekował się nimi strażnik, karmił je 7 razy dziennie mlekiem z butelki. Niespodziewanie jedna z sierotek, lwiczka „Liz" zachorowała na nieznaną chorobę, paraliżującą tylne łapy i powodującą ślepotę. Miejscowy weterynarz był bezradny.

O dramacie małej lwiczki dowiedział się pilot Derek Wales z miejscowej linii lotniczej i zaofiarował się wraz z żoną przewieźć chorą „Liz" do kliniki dla zwierząt w Parku Narodowym w Nairobi.

Na zdjęciu — pani Margaret Wales wynosi z samolotu małą „Liz". Czteromiesięczna lwica wygląda pozornie na zdrową mimo swej ciężkiej choroby. Obecnie „Liz" wypoczywa po podróży i czeka na operację w klinice zwierzęcej.

Foto: CAF

Wódz „Czarny Orzeł"

DO RZYMU przybył zespół Indian i kowbojów amerykańskich, starając się o uzyskanie zezwolenia władz na urządzanie pokazów i występów artystycznych w kilku miastach włoskich. Na zdjęciu — jeden z członków tego zespołu „Czarny Orzeł", wódz plemienia Siuxów z Południowej Dakoty, wraz ze swą ulubioną małpką.

Foto: CAF

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

KRZYŻÓWKA — MECZ

W tym meczu mogą brać udział dwie osoby, np. brat z bratem, siostra z siostrą, kolega z kolegą.

Regulamin gry jest prosty. Najpierw dobieramy sobie przeciwnika, a następnie ustalamy przez losowanie, kto rozwiązuje górną, a kto dolną krzyżówkę. Wpisywanie wyrazów do diagramu rozpoczynamy równocześnie.

Kto szybciej rozwiąże swoją krzyżówkę, ten wygrywa mecz i otrzymuje ustaloną przez Was nagrodę. Za nadesłane do redakcji trafne odpowiedzi rozlosujemy 20 bonów książkowych po 30 zł.

POZIOMO: 1 — aktor grający śmieszne role; 5 — droga bita, żwirowana; 8 — prymitywne narzędzie drewniane spulchniające ziemię; 9 — wielkorządca turecki, głównodowodzący wojsk; 10 — lekka komedia; 11 — przyrząd do mierzenia, wielkość przyjęta za jednostkę porównawczą przy pomiarach wielkości; 14 — ruchome schodki spuszczane ze statku, a służące do wchodzenia i schodzenia; 17 — część twarzy; 19 — pomoc w nieszczęściu; 20 — lokal, w którym wyświetla się filmy, chętnie tam chodzisz; 21 — miasto, port rybacki i kąpielisko nadmorskie, rzeka; 22 — polakierowane, impregnowane płótno (zdrobniale); 23 — legenda, opowiadanie staroskandynawskie; 25 — pled, gruby koc; 28 — imię męskie; 31 — korsarz; 32 — miasto wojewódzkie; 33 — ułatwia podnoszenie dużych ciężarów; 34 — plac, na którym zbierał się lud w starożytnej Grecji; 35 — miasto nad jeziorem Jeziorak.

PIONOWO: 1 — kaftan męski lub kobiecy; 2 — naczynie kuchenne; 3 — mały sklepik, kłopot; 4 — rzeka, granica pokoju; 5 — duży mebel wyściełany do siedzenia dla kilku osób, niska miękka kanapa z oparciem; 6 — jednostka czasu w dziejach Ziemi; 7 — imię żeńskie; 12 — jakaś sprawa, korzyść, pożytek; 13 — imię żeńskie (zdrobniale); 15 — upadek, zniszczenie, gruzy, utrata majątku; 16 — broń myśliwska i wojenna pierwotnych ludzi; 17 — umowa, porozumienie; 18 — obóz warowny, ruchomy, zbiór pakunków wojska w czasie marszu; 23 — odłam wyznaniowy w obrębie danej religii; 24 — jezioro w Polsce; 26 — rodzaj pelerynki futrzanej; 27 — miejsce popisów w cyrku; pole działania; 28 — wojsko tatarskie, koczowisko Tatarów; 29 — ptak, zamieszkuje lasy gór Nowej Zelandii; 30 — mają niektóre zwierzęta.

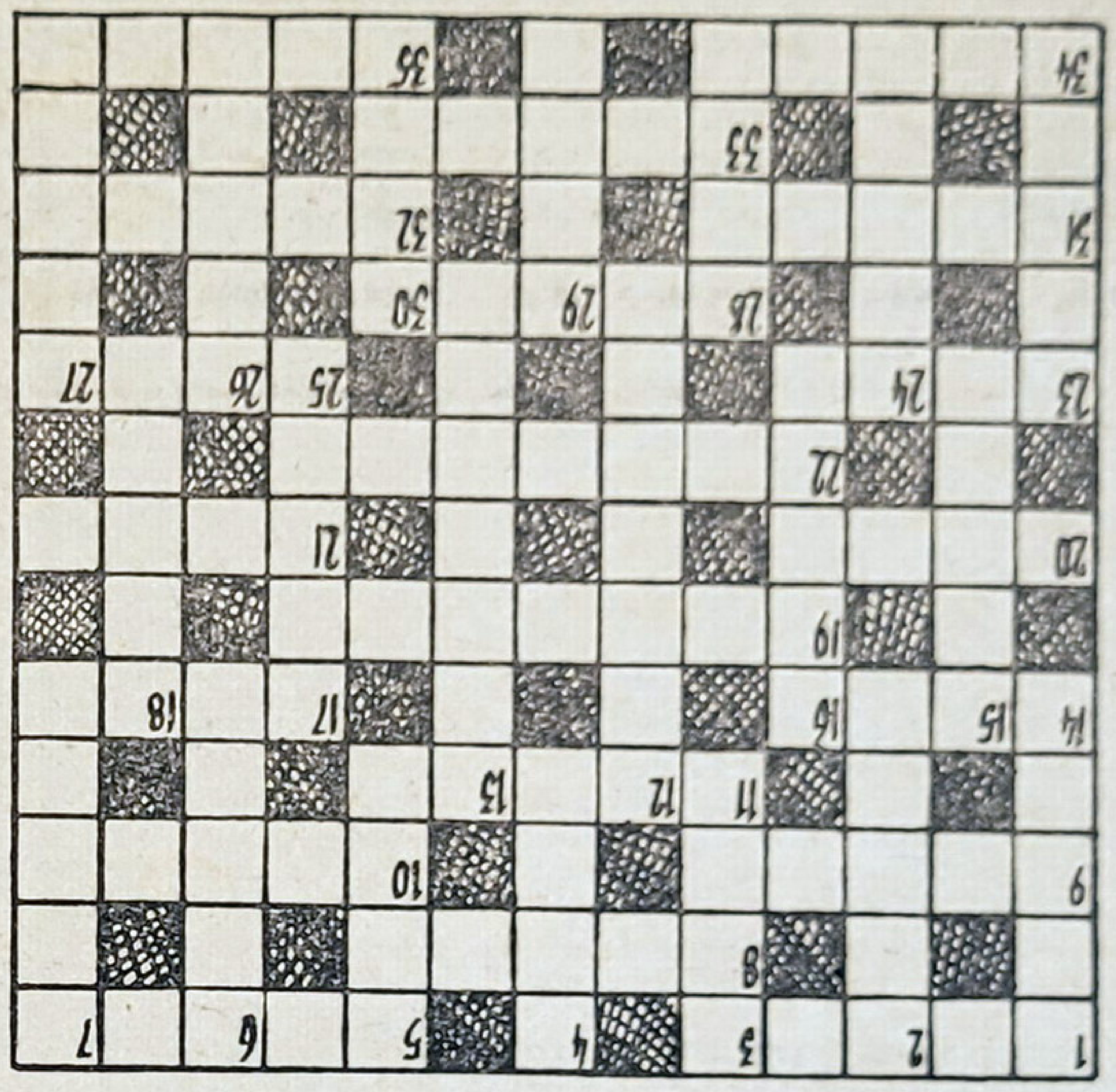

POZIOMO: 1 — prawy dopływ Wisły; 5 — miasto lub rzeka (woj. wrocławskie); 8 — pogardliwa nazwa nadawana niewiernym przez mahometan; 9 — roślina dwuletnia uprawiana jako warzywo i na paszę; 10 — piękny kwiat jesienny; 11 — prawy dopływ Sanu, przepływa przez Puszczę Solską; 12 — inaczej: chciwiec, skąpiec, dusigrosz; 15 — niezwykle cenny dywan często przetykany złotą i srebrną nitką (nazwa pochodzi od miasta we Francji); 18 — dopływ Wołgi; 20 — inaczej: pleban, proboszcz; 21 — inaczej: kolega, towarzysz; 22 — jest z cegieł; 24 — kaftan męski lub kobiecy; 27 — umowa zawarta między państwami, skupienie jednakowych lub różnych drobin występujących w tej samej fazie; 30 — nauczyciel wymowy, krasomówca; 31 — nadziewana czekoladka; 33 — woźnica kieruje nimi konia; 32 — młoda mewa; 34 — wysuszona trawa; 35 — miasto nad Notecią.

PIONOWO: 1 — nazwa świerka na Podhalu; 2 — pośrednik handlowy, przedstawiciel firmy; 3 — imię żeńskie; 4 — kocioł, w którym poddaje się działaniu pary wodnej ziemniaki na paszę; 5 — rzeka w Czechosłowacji, dopływ Wagu; 6 — twórca, sprawca; 7 — piszesz na kopercie; 13 — stan skupienia myśli na jakimś zjawisku; 14 — ptak; 16 — piękny koń; 17 — bylina z rodziny amarylkowatych, pochodzi z Meksyku. 18 — fizyk niemiecki, który dokonał wielu badań nad elektrycznością, magnetyzmem i akustyką; 19 — angielska miara gruntu; 23 — akt ogłoszony w Dzienniku Ustaw PRL, a uchwalony przez Sejm; 24 — olbrzymi posąg, duży gmach; 25 — dzieci lubią, gdy babcia je opowiada, gatunek ustnej twórczości ludowej ukształtowany w starożytności; 26 — duże lustro często stojące na podłodze; 27 — imię męskie, obchodzi imieniny szesnastego kwietnia; 28 — imię psa; 29 — małe dno.

Rozwiązania należy przysłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej. Spróbuj rozwiązać.

UWAGA! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

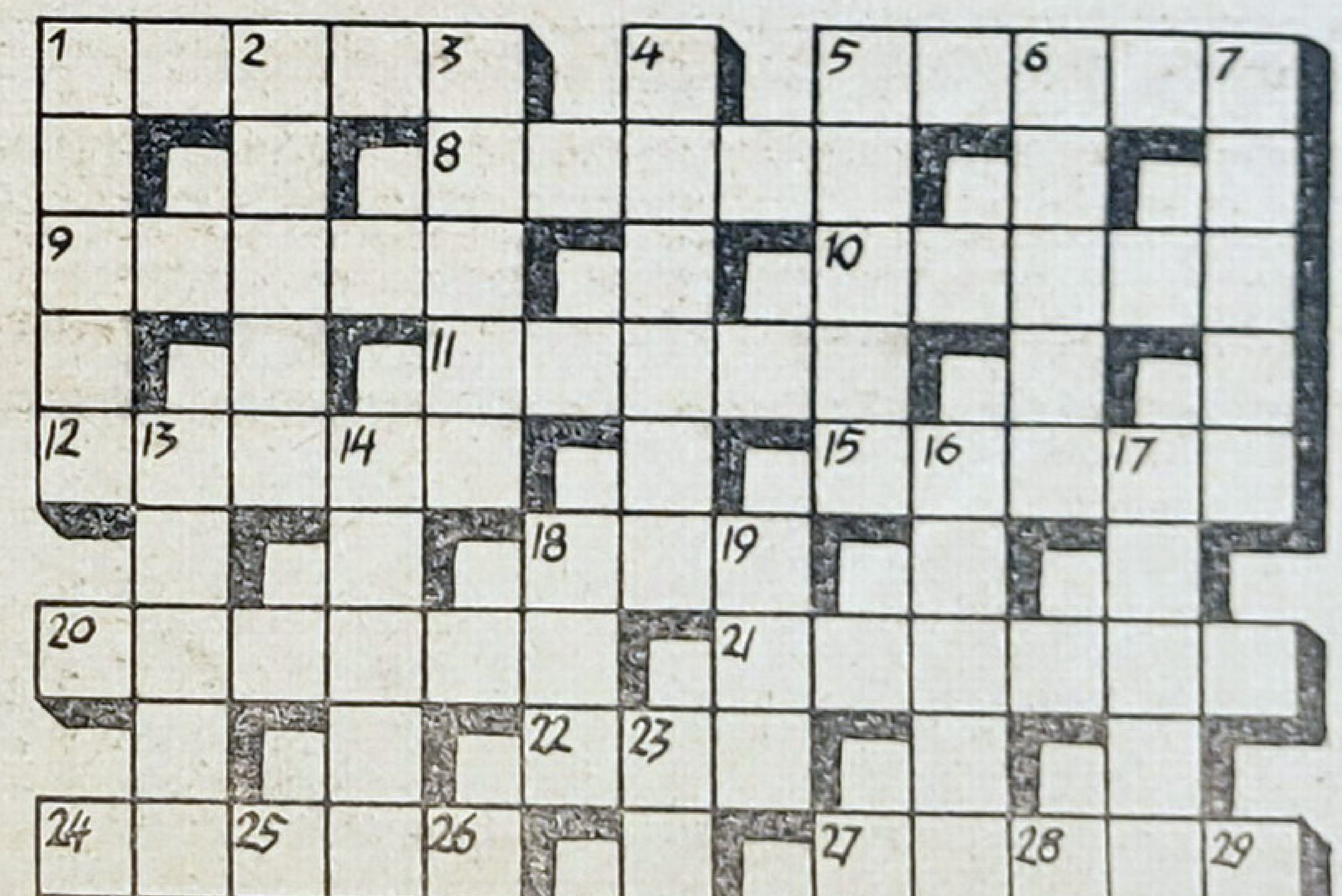

CIEKAWE, CIEKAWE, BARDZO CIEKAWE!

DLA KOLEKTYWÓW I DLA JEDNOSTEK MAMY NIEWĄSKI WÓR CIEKAWOSTEK

DOKTOR HUMORIS CAUSA

JAK PODAJE Agencja Dobrych Wiadomości (ADW), utworzona niedawno przy Warszawskiej Komendzie Chorągwi, najweselszym człowiekiem podwarszawskich miejscowości jest druh podharcmistrz Apolinary Jabłonka, były wychowanek Gimnazjum im. Stefana Batorego, a obecnie zawodowy grafolog-humorysta.

Wystarczy mu kilka zdań (listownych) człowieka pogrążonego w smutku, żeby nie tylko wywnioskować, jaka jest tego smutku przyczyna, ale udzielić wyczerpującej listownej porady poprawiającej samopoczucie.

Druh Jabłonka załącza do odpowiedzi takie dowcipy, że smutni chłopcy tarzają się we własnym śmiechu, a melancholijne dziewczęta promienieją urodą i takim dowcipem jak stąd do Kamczatki. Druh Jabłonka na podstawie własnych doświadczeń ułożył katalog dowcipów uczniowskich, w którym jest wszystko, co uczniom nie obce, od A do Z.

Porad i dowcipów udziela bezpłatnie. Wystarczy tylko napisać trzy zdania w liście i wysłać do jego osobistego sekretarza pod adresem: Antoni Żukowski, Warszawa, Mokotowska 24 — „Świat Młodych" z dopiskiem na kopercie: „Dla Apolinarego. — Spróbuj rozwiązać"

Warto wiedzieć, że druh Apolinary na ostatnim Krajowym Zjeździe Grafologów-Humorystów uzyskał tytuł „Doctor Humoris Causa". Załączone zdjęcie przedstawia druha Jabłonkę w trakcie odczytywania jednego z listów (wg ADW opracował Kobis).

Foto: Jerzy Dąbrowski

CZYZBY MINI—CYWILIZACJA?

KILKA dni temu fachowa prasa amerykańska podała do wiadomości publicznej dalsze szczegóły dotyczące badań próbek gruntu księżycowego. Informacje te dotąd trzymane były w tajemnicy ze zrozumiałych względów.

Otóż dokładna analiza mikroskopowa drobin pyłu przywiezionego przez astronautów wykazała, iż niektóre z owych drobin przypominają nieco nasze ziemskie... butelki! Jednak kształt ich jest zupełnie odmienny, takich form na Ziemi się nie spotyka. Najbardziej zastanawiające są jednak ich wymiary. Na zdjęciu porównano je z grubością... włosa ludzkiego!

Uczeni zastanawiają się: — czy aby Księżyc nie jest zamieszkały przez mikroskopijnej wielkości istoty, które wytworzyły tam mini-cywilizację, niedostrzegalną nieuzbrojonym okiem?

Badania trwają, a o ich wynikach poinformujemy wkrótce. Księżycowe eksponaty można oglądać na specjalnej wystawie w redakcji „Świata Młodych", Warszawa, Mokotowska 24. Kierownik Księżycowego Muzeum — Stanisław Borowiecki.

Wystawa czynna jest tylko w najbliższą środę od godz. 11 do 13.

CAŁY ŚWIAT NA MAŁYM EKRANIE

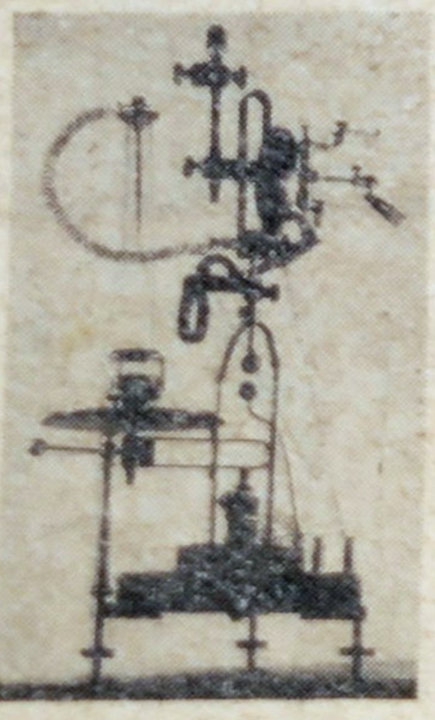

Impulsator kaskadowo-udarowy (prototyp)

Próbny obraz z lądowania naszego fotoreportera na Wyspach Wielkanocnych.

Foto: archiwum

Dr Turkuć w pracowni.

MŁODY polski uczony dr Stefan Turkuć dokonał ostatnio rewelacyjnego wynalazku. Impulsator kaskadowo-udarowy jego konstrukcji pozwoli każdemu posiadaczowi telewizora na **bezpośredni odbiór dowolnie wybranej stacji telewizyjnej na całym świecie.** Wynalazkiem zainteresowała się Telewizja Dziewcząt i Chłopców. W najbliższą środę o godz. 17.15 będziecie mogli obejrzeć program TV poświęcony omówieniu szczegółów konstrukcyjnych impulsatora. Jest on stosunkowo prosty w budowie i nie wymaga przeróbek telewizora, gdyż stanowi element zastępujący antenę. Wiemy z wiarygodnych źródeł, że Wydawnictwo Harcerskie już przygotowało dokładny opis tego urządzenia w serii „Zrób to sam". Listy z zamówieniami należy nadsyłać do dnia 5 kwietnia pod adresem: Wydawnictwo Harcerskie, Warszawa, ul. M. Konopnickiej 6.

Tak oto wygląda nasz gość Bloody Fox. Oczywiście będąc w Polsce używa zwykłych ubrań, żeby nie wzbudzać niepotrzebnie sensacji na ulicach.

Foto: Honey Jim

TAJEMNICE INDIAŃSKICH TROPÓW

NIEDAWNO, przyjmowaliśmy w naszej redakcji niecodziennego gościa. Był nim potomek słynnego Sitting Bulla (Siedzącego Bawołu) — jeden z ostatnich przedstawicieli plemienia Siuxów.

Dostojny gość noszący plemienne imię Bloody Fox (Krwawy Lis) przebywa obecnie u swojego serdecznego przyjaciela i znanego podróżnika mgr inż. Andrzeja Harlanda, z którym zaprzyjaźnił się kilka lat temu w Ameryce Północnej.

Bloody Fox przywiózł polskim czytelnikom 100 EGZEMPLARZY SWOJEJ KSIĄŻKI pt. „Tajemnice indiańskich tropów" napisanej w języku angielskim.

Egzemplarze okazowe można WYPOŻYCZAĆ na okres jednego miesiąca pisząc pod adresem:

Mgr inż. ANDRZEJ HARLAND
WARSZAWA-ANIN
UL. ZAMBROWSKA 6 a m. 8

Zamówienia prosimy przysyłać na kartkach pocztowych do dnia 3 kwietnia br.

SKOK NA GŁOWĘ

(Rewelacja sportowa XX wieku)

NASZ specjalny korespondent Mieczysław Świderski donosi z Osaka (Japonia), co następuje:

Wiadomo wszystkim, że Osaka to nie tylko miasto-wystawa (Expo-70), ale również wielki ośrodek sportowy.

Japończycy wprowadzili po raz pierwszy w dziejach świata konkurencję sportową pod nazwą „Skok na głowę". Polega ona na tym, że zawodnik skacze z wysokiej (17-metrowej) trampoliny na głowę w żużel, żelastwo, cegły i wszelką twardą konsystencję. Jest to współczesna adaptacja starożytnego zwyczaju samurajów.

W konkurencji tej zwyciężył nasz znakomity zawodnik Jacek Sztanderski (ani jednego guza!). Jego sprężyste nogi widoczne są na załączonym zdjęciu.

Inni zawodnicy bardzo rozczarowali wielotysięczną widownię, bo skakali na nogi zamiast na głowę. Były liczne kontuzje dolnych kończyn.

Nasz znakomity kolega Jacek jest dumny ze skoku na głowę. Jest również gotów przesłać swoją podobiznę wielbicielom tego sportu wraz z autografem. Oto jego adres: **Jacek Sztanderski, Przegląd Sportowy, Warszawa, Mokotowska 24.** (telebis)

Foto: M. Świderski